

ROLA

Rok V.
Kraków, dnia 11 czerwca 1911 r.
Nr. 24.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

Legendy, podania i opowiadania.

Mamy już teraz setki i tysiące najróżnorodniejszych książek, z których każda opowiada o czem innem, a choćby życie człowieka było dwa razy dłuższe, jak ono jest, to człowiek nie zdołałby tego wszystkiego przeczytać, co ludzie już napisali.

Jedne z tych książek opowiadają nam o zdarzeniach, które rzeczywiście były; o ludziach, którzy bez wątpienia żyli i działali na świecie; o rzeczach, które z pewnością istniały lub istnieją na kuli ziemskiej. Inne książki powstały tylko w myśli ludzkiej i opisują zdarzenia, ludzi lub rzeczy, jakie nigdy na świecie nie istniały.

Pierwsze z tych książek są dla nas nauką, bo dają one nam poznać przeszłość, jaką była w rzeczywistości, i teraźniejszość, jaką jest naprawdę; zaś drugie wytworzone tylko w umyśle autora, mają za zadanie, albo przedstawić jakieś zdarzenie celem pouczenia nas lub rozerwania. Oczywiście mowa tu tylko o dobrych książkach.

Ale wśród dobrych książek są i złe, są i takie, które niosą w sobie brud i zgniliznę, które działają na zgubę człowieka.

Jak powiedzieliśmy wyżej, napisano już setki i tysiące książek, a jednak nie wszystko jest jeszcze drukiem objęte. Mamy tu na myśli legendy, podania i opowiadania, jakie wśród ludu naszego wiejskiego krążą podawane tylko z ust do ust. A jest tego setki całe i tysiące. Błąkają one się po świecie, jak błędne ogniki i często, niestety, przepadają bezpowrotnie. A szkoda ich ogromna, bo często wśród opowiadań błahych i nic nie znaczących można znaleźć prawdziwe perły, warte tego, aby je od zatraty uchronić. Zbieranie ich powinno być obowiązkiem prasy ludowej.

Niestety, prasa ta zajęta walkami politycznemi, prawie nie zwraca uwagi na te skarby prawdziwe. A skarbów tych moc ogromna! Weźmy tylko wioskę jedną — ileż tam można usłyszeć pięknych legend, tyczących zdarzeń z życia Pana Jezusa, Matki Boskiej lub Świętych Pańskich. Legendy te przedstawiają często zdarzenia nieprawdziwe, ale zawsze miłe, a często mieszczące w sobie głębszą naukę.

Wśród ludu naszego krąży także tysiące podań z dawniejszych czasów, które nigdy nie były ujęte drukowanem słowem. Trudno osądzić ile w nich jest prawdy a ile bujnej fantazyi, ale że w podaniach tych mieści się nieraz tyle uroku i pięknych myśli, szkoda, aby one zginęły w zapomnienia fali.

Pomińmy nawet rzeczy poważne i pouczające, to i tak znajdziemy pomiędzy ludem bardzo wielką ilość wesołych opowiadań, przepełnionych prawdziwym swojskim humorem, a nie fabrykowanym sztucznie. Znajdziemy pośród nich rzeczy błahe i może nawet o niewielkiej wartości, ale mimo tego szkoda, aby one przepadły bezpowrotnie, bo dają one nam poznać charakter naszych ojców i dziadów.

Wszystko to, a więc legendy, podania i opowiadania, to rzeczy cenne, które pielęgnować i cenić należy, chronić je od zagłady, aby zostawić je w spóściźnie dzieciom naszem. Rzecz to jednak niełatwa, bo na zbieranie tych pereł trzeba jednak czasu i to wiele, ale z drugiej strony można pocieszyć się dobrym objawem wśród naszej braci rolnej. Gdyśmy bowiem przed kilku miesiącami zaprosili naszych Czytelników do tej wspólnej pracy, do spisywania tych opowiadań, pospieszyli oni i spieszą nam chętnie z swą pomocą, nadsyłając swe prace, pisane nieraz spracowaną swą ręką. My cenne te rzeczy bądź umieszczamy w »Roli«, bądź też gromadzimy w tece, aby je w najbliższej przyszłości ogłosić drukiem, gdy tylko miejsce na to pozwoli. Ku szczeremu zadowoleniu musimy stwierdzić, że wiele z tych prac, jakie drukować będziemy w drugiem półroczu, są rzeczami cennemi, wskutek czego nietylko uchronimy je od zapomnienia, ale i Przyjaciołom naszym sprawimy prawdziwą przyjemność.

U stóp Zbawiciela.

Powieść historyczna z czasów Chrystusa Pana.

—x—

KSIĘGA SIÓDMA.

1. Goście w domu Hura.

— Estero, Estero! Każ mi przynieść kubek wody.

— Czy nie lepiej, ojcze, byłoby ci napić się wina?

Rozmowa ta toczyła się na dachu starego pałacu Hurów w Jeruzalem. Z balustrady Estera zawołała na stojącego tam sługę. Lecz właśnie w tej chwili wszedł drugi i, oddawszy głęboki ukłon, wręczył Simonidesowi list szczelnie opieczętowany.

A należy dodać, że działo się to w trzy lata niespełna po ukazaniu się Chrystusa w Bethabara.

Przez ten czas Malluch, działając z rozkazu Ben-Hura, który nie mógł znieść dłużej widoku opustoszenia domu swych ojców, kupił go był od Pontusa Piłata. Obecnie gmach ten był odnowiony.

Judah jednak nie objął go jawnie w posiadanie, ani też dotąd jeszcze nie nazywał się rodzinnem nazwiskiem. Czekał na to chwili odpowiedniej. Tymczasem czynił przygotowania w Galilei, pilnie śledząc każdy krok Nazareńczyka, a nie zawsze mógł go zrozumieć. Cuda, na jakie patrzył własnemi oczyma, utrzymywały go w niepewności co do posłannictwa tajemniczego syna cieśli.

A wśród tych zajęć i rozmyślań, od czasu do czasu odwiedzał Swięte Miasto i zatrzymywał się w starem domostwie, lecz zawsze jako gość tylko. Przed kilku dniami przybyli tu także Simonides i Estera.

Codziennie goniec przywoził Simonidesowi obszerne raporty od Sanballata, który go zastępował w Antyochii, i codzień drugi goniec niósł Sanballatowi rozkazy i wskazówki starego kupca.

Światło słoneczne oświetla właśnie Esterę. — Spojrzawszy na list, podawany przez sługę, oblała się żywym rumieńcem. Pieczęć była Ben-Hura. Simonides przez chwilę przypatrywał się także tej pieczęci, poczem rozłamał ją i wyjąwszy zwój pergaminu, podał go Esterze.

Zmieszanie jej i rumieniec nie uszły bacznego oka Simonidesa.

— Ty go kochasz, Estero? — pytał.

— Tak — odparła z prostotą.

— A wiesz-że, jak wielkiem to jest szaleństwem?

— Starałam się, ojcze, nie myśleć o nim; to jest nie myśleć inaczej, jak służebnica o swoim panu, ale... nie mogę. Lecz dość już o tem. Czytajmy raczej to pismo.

— Za chwilę. Dla twego dobra muszę powiedzieć ci smutną prawdę. Nie łudź się, córko. Serce jego należy do innej.

— Wiem o tem — odparła spokojnie.

— Egipcyanka ma go w swej sieci, a posiada ona przebiegłość właściwą narodowi swemu i piękność, co jakby lep, zwabiła młodzieńca. Ale nie smuć się, gdy ten, którego kochasz, pojmie za żonę piękną Egipcyankę. Myśl jego z tęsknotą i żalem zwracać się będzie ku tobie, gdyż pozna wówczas, iż był jeno narzędziem w jej ręku do osiągnięcia ambitnych marzeń. Celem zaś ich jest — Rzym. Ona widzi w nim syna Arriusa duumwira, nie zaś Hura, księcia Jerozolimy.

Na twarzy Estery odbiło się wielkie zaniepokojenie.

— Ratuj go, ojcze, póki czas! — błagała.

Simonides uśmiechnął się cierpko i rzekł:

— Można uratować tonącego, lecz zakochanego — przenigdy! Gdybym to uczynił, gdyby nawet udało mi się wyswobodzić go z jej sieci, cóż ty na tem zyskasz? Zaiste nic.

— Nie zrozumiałeś mnie, ojcze — rzekła. — Lecz pozwól mi już odczytać to pismo — prosiła, chcąc zakończyć tę drażliwą rozmowę.

— Czytaj — rzekł.

Ben-Hur pisał w te słowa:

8-go Nizam.

Na drodze z Galilei do Jeruzalem.

Nazarejczyk idzie także do Świętego Miasta, a za nim, lecz bez jego wiedzy, cały legion moich ludzi. Drugi legion postępuje w pewnej odległości. A że zbliża się święto Paschy, nikogo nie zdziwi to zbiegowisko. Wyruszając w drogę, mąż z Nazarei powiedział: *Muszę iść do Jeruzalem, aby spełniło się wszystko, co o mnie powiedzieli prorocy.* Oczekiwanie nasze zbliża się ku końcowi. — Pokój tobie, Simonidesie.

Ben-Hur.

Estera oddała list ojcu, połykając gorzkie łzy. W piśmie nie było wzmianki o niej, nawet w słowach pozdrowienia; a mógł przecież dodać: »pokój tobie i twoim« — choćby tyle. Po raz pierwszy izraelska dziewica poznała, co zazdrość.

— Ósmy dzień — rzekł Simonides — ósmy, a dziś jest który?

— Dziewiąty.

— A więc muszą już być w Betanii.

— I zapewne wieczorem będzie tutaj.

— Być może. Jutro przypada święto Przaśnego chleba. Pan nasz, a i Nazareńczyk także, zechcą niewątpliwie obchodzić go w Swiętem Mieście. Więc może oczy nasze oglądać ich będą obu.

W tej chwili wniesiono wodę i wino, a jednocześnie Iras ukazała się na dachu. Esterze nigdy jeszcze Egipcyanka nie wydała się tak bardzo, bardzo piękną. Estera na jej widok zadrżała i przytuliła się do ojca.

— Pokój tobie, Simonidesie i tobie, wdzięczna Estero, pokój niech będzie z wami — rzekła uprzejmie — a schyliwszy się, szepnęła:

— Oczekiwany Król zbliża się i wkrótce Go ujrzymy.

Estera podniosła oczy ze zdziwieniem.

— Nazareńczyk — ciągnęła dalej — o którym ojcowie nasi rozprawiają tak wiele, a dla którego Ben-Hur ponosi tyle kosztów i trudu, Nazareńczyk przybędzie tu jutro.

Nagle, zwracając się ku żydówce, dla zaskoczenia jej słowami temi znienacka, dodała:

— A Ben-Hur jeszcze dziś wieczór.

Izraelskie dziewczę usiłowało ukryć swe wzruszenie. Lecz — bezskutecznie. Zdradził ją rumieniec, ten wielki plotkarz, zabarwiając falą krwi jej twarz i szyję. Spuściła oczy, więc nie widziała złośliwego wyrazu, jaki oszpecił piękne oblicze jej rywalki.

Nagle odgłos szybkich kroków doleciał je z ulicy. Egipcyanka pochyliła się nad balustradą.

— Chwała niech będzie Bogu! To on, Ben-Hur — zawołała, klaszcząc radośnie w ręce. — Że też przychodzi właśnie w chwili, gdy o nim myślę tak bardzo.

2. Ben-Hur opowiada o Nazareńczyku.

W godzinę potem Baltazar i Simonides rozmawiali w wielkiej sali pałacu o Nazareńczyku, gdy wszedł Ben-Hur. Pozdrowił Egipcyanina, następnie zwrócił się do Simonidesa.

— Pokój tobie, Simonidesie! — tu skłonił głowę przed starcem — niech błogosławieństwo Pana będzie z tobą!

— Zwracam ci pozdrowienie twe, synu Hura — odparł Simonides — bądź miłym gościem w domu ojców twoich. Siądź i opowiadaj nam o twych wędrówkach i pracach twoich i o cudownym Nazareńczyku. Cóż o nim myślisz? Zbawcą-li jest, czy Królem? Siądź, proszę, pomiędzy nami, abyśmy wszyscy mogli słyszeć.

Estera przyniosła mu niski stołek.

— Dzięki ci — rzekł, patrząc na nią mile.

Gdy usiadł, zwrócił się ku mężom i mówił, a oni dawali mu pilne ucho.

— Przynoszę wam ciekawe wieści o Nazareńczyku. Przez wiele dni postępowałem za Nim, jako cień wierny. I widziałem go w okolicznościach różnych i choć-em przekonany, iż i człowiekiem jest takim, jak ja, niemniej jednak jestem pewny, że jest On czemś więcej.

— I w jakich że to okolicznościach Go widziałeś? — pytał Simonides.

— Opowiem ci.

Nie dokończył. Właśnie we drzwiach ukazała się kobieta zgrzybiała.

Ben-Hur porwał się i biegł na jej powitanie.

— Amrah! droga Amrah! — wołał.

Stara piastunka przypadła mu do nóg, obejmowała mu kolana i tysiącznymi pocałunkami okrywała jego ręce. A on, gdy je wydobył z jej uścisku, odgarniając z czoła jej siwe włosy, całował ją nawzajem.

Wierna sługa zanosiła się od płaczu. I w jego oczach zabłysły łzy, lecz połknął je coprędzej. Bał się, aby ktokolwiek ich nie spostrzegł, albowiem płacz przystoi jeno słabej niewieście. Po chwili nie znać już było na nim wzruszenia.

— Chodź, Amro, usiądź tu przy mnie — rzekł — Nie chcesz? A więc u moich nóg. Mam wiele do powiedzenia tym oto moim przyjaciołom o cudownej Istocie, która pojawiła się pomiędzy nami.

Lecz ona odeszła i przykucnąwszy przy ścianie, utkwiła oczy w Ben-Hura. Wszyscy sądzili, że mu się tak przypatruje. Judah skłonił głowę przed obu sędziwymi mężami i ciągnął dalej.

— Zanim odpowiem na pytanie twe, Simonidesie, kim jest ów nazareńczyk i co sądzę o jego naturze, opowiem wam o rzeczach cudownych, których dokonał w moich oczach; a chcę wam to opowiedzieć dlatego, że Jutro przybędzie do Jerozolimy i uda się do świątyni, którą zwie On domem swego Ojca, i tam wobec zgromadzonego ludu objawi kim jest. Jutro zatem dowiemy się, czy twój sąd, Baltazarz, czy też twój, Simonidesie, słusznym jest. Wszędzie ścisk będzie wielki, radziłbym, abyście wszyscy zajęli miejsce nad bramą »Piękną«, naprzeciwko świątyni.

— Czy będziesz z nami?

— Nie, mogę być potrzebny ludziom moim podczas pochodu.

— Pochodu? — zawołał Simonides — w także to licznym pochodzie przybywa?

— Przeciwnie — odparł. — Ma on ze sobą tylko dwunastu towarzyszów: rybacy i robotnicy stanowią cały jego orszak, wszystko ludzie najniższej klasy, a idzie z nimi pieszo, nie bacząc na ostre wiatry z północy, na deszcz, ani też na palące promienie słońca. Patrząc na nich, rzekłbyś raczej, że to pasterze, wracający do swych trzód, niźli wojownicy z królem na czele, idący ku zdobyczom. On sam odróżnia się od tamtych wielką powagą, majestatem postawy i oblicza, a poznać go można po czci, jaką go otaczają. Jest im nauczycielem i towarzyszem tak dobrze, jak i wodzem.

Obaj ludźmi jesteście doświadczenia i rozumu wielkiego — mówił Ben-Hur po krótkiej przerwie — wiecie zatem, jak wielmożnie panuje w sercach ludzkich żądza bogactw. I cóż powiecie o człowieku, który kamienie przydrożne mógłby zamienić w bryły złota, a woli jednak żyć w ubóstwie? Widziałem sam, jak przemieniał wodę w wino.

— Dziwne to, dziwne zaiste — mówił Simonides — lecz dziwniejszem jest mi to, iż woli w ubóstwie żyć, gdy mógłby być tak bogaty, jak nikt na świecie. Jestże istotnie tak biednym?

— Nie ma nic zgoła i nie zazdrości tym, co mają najwięcej. Przeciwnie, lituje się nad bogaczami. Lecz pomijając to, cóż sądzicie o człowieku, który rozmnaża siedm bochenków chleba i dwie ryby — cały zapas swój i swoich towarzyszów — na taką moc chleba i ryb, że karmi nią pięć tysięcy ludzi, i nasyceni są, i schodzi jeszcze ułomków siedm koszów pełnych. Nazareńczyk dokonał tego.

— Widziałżeś to sam? — zawołał Simonides.

— Na własne oczy! i jadłem ten chleb i ryby. Nie dość na tem — ciągnął dalej. — Cóż powiecie o człowieku, który ma taką moc uzdrawiania, że dość jest chorym dotknąć skraju jego szaty lub zawołać nań błagalnie, aby zostali wyleczeni? I tego także byłem świadkiem naocznym. Gdyśmy wychodzili z Jerycho, dwaj ślepi, siedzący przy drodze, usłyszawszy, że idzie Nazareńczyk, przyzwali go rozpaczliwym głosem, wołając: »Zmiłuj się nad nami, Panie, Synu Dawidowy!« On, użaliwszy się, dotknął jeno ich oczu. Przejrzeli natychmiast i szli za nim. Innym razem przyniesiono mu człowieka powietrzem ruszonego. Nazareńczyk rzekł tylko: »Wstań i chodź!« a człowiek powstał i o własnej sile odszedł do domu swego. I cóż powiadacie na to?

Kupiec milczał.

— Sądzicie może — jak to słyszałem z ust wielu — że wszystko to jest złudzeniem? Jeśli tak, opowiem wam rzeczy jeszcze bardziej zdumiewające. Wszak znacie to przekleństwo Boże, na które jedynym ratunkiem jest śmierć — chcę mówić o trądzie.

Słysząc to, Amrah podniosła się z ziemi i podała się naprzód całą swą zgrzybiałą postacią, jakby chcąc wsłuchać się lepiej w każde słowo młodzieńca.

— I cóżbyście powiedzieli — mówił Ben-Hur z większą niż dotychczas powagą — gdybyście zobaczyli to, co wam teraz opowiem. Trędowaty przyszedł do Nazareńczyka, podczas gdy byłem z nim w Galilei i rzekł: »Panie, jeśli chcesz, możesz mnie oczyścić«. A Nazareńczyk usłyszał to wołanie i wyciągnąwszy rękę, dotknął go, mówiąc: »Chcę, bądź oczyszczony«. W tejże chwili trąd opadł z tego człowieka i był tak zdrów i czysty, jak każdy z nas. A tłumy patrzyły na to.

Amrah przystąpiła jeszcze bliżej i stanęła tuż obok mówiącego, wpijając się oczyma w jego twarz.

— Innym znowu razem — opowiadał Ben-Hur — dziesięciu trędowatych przyszło do niego i upadłszy mu do nóg, wołali; »Panie, Panie! miej litość nad nami!« A on im rzekł: »*Idźcie, ukażcie się kapłanom, jak nakazuje prawo, a nim dojdziecie, będziecie uzdrowieni!*«

— I byliż istotnie?

— W drodze ciało ich oczyściło się, tylko pokrywające ich łachmany świadczyły o uprzedniej chorobie.

Ben-Hur umilkł, a jednocześnie z komnaty wysunęła się niepostrzeżenie stara piastunka.

— O czemś podobnem nie słyszał nikt dotąd, nie! nikt chyba w całym Izraelu — mówił Simonides, jakby do siebie.

— Myśli i uczucia, jakie cuda te wzbudziły w mojem sercu, łatwo możecie pojąć — ciągnął dalej młodzieniec — lecz nie na tem kończy się opowieść moja. Galilejczycy, jak wiecie, łatwo się zapalają do walki; — po długich latach bezczynności i oczekiwania, miecze paliły ich ręce. I ja także byłem niecierpliwy. Legiony moje oddawna stoją w pogotowiu, więc gdy raz nauczał nad brzegiem jeziora, chcieliśmy okrzyknąć go królem, gwoli lub wbrew jego życzeniu, lecz zniknął nam nagle z przed oczu i po chwili dopiero dojrzeliśmy go, jak siedząc w łodzi z uczniami swymi, odbijał od brzegu. Było już zapóźno. Chciwość, co skłania jednych do zdobywania bogactw, ambicya, która budzi w innych żądzę władzy i panowania, w sercu jego nie istnieją wcale. Nie nęci go nawet korona, którąby lud kochający uwieńczył skronie jego. I, pytam was, cóż sądzicie o człowieku takim?

Kupiec podniósł zwieszoną na pierś głowę.

— Pan żyje i żywe są słowa proroków Jego — odparł. — Dzień jutrzejszy rozjaśni nam może tajemnicę ową.

— Zobaczymy jutro — odparł Baltazar.

— Nie skończyłem jeszcze opowiadać tego, co chcę, abyście wiedzieli — mówił Ben-Hur. — Od rzeczy tak niezwyczajnych, iż wierzyć w nie nie chcą ci nawet, co patrzyli na nie własnymi oczyma, przejdę teraz w opowieści mej do innych, nieskończenie większych cudów, bo któż zdołał śmierci odebrać jej łup? I cóżbyś ty, czcigodny starcze, lub ty, Simonidesie, cóżbyście rzekli obaj, widząc jak mąż ten, kilku zaledwie słowy, niby matka przemawiająca do uśpionego dziecięcia, budził umarłe? A było to w Naim. Gdyśmy się zbliżali do bram miejskich, tedy oto wynoszono z nich mary. Usunęliśmy się, aby pozostawić wolne przejście orszakowi pogrzebowemu. — A umarły był jedynym synem wdowy. Szła ona płacząc i zawodząc żałośnie; ujrzawszy to Nazareńczyk użalił się jej, podszedł, dotknął mar i zawołał: *Młodzieńcze, ja tobie mówię: wstań!* I w tejże chwili podniósł się zmarły i przemówił.

— Jeden tylko Bóg może mieć moc taką — rzekł Baltazar, wznosząc ku niebu ręce.

— A uważcie to sobie — kończył Ben-Hur — mówię wam tylko, com widział sam — było jeszcze wiele innych cudów, na które patrzyła liczna rzesza. Cóż sądzicie: człowiekiem-li tylko jest ów mąż w Nazarei?

Długo w noc rozprawiali nad tem pytaniem, nie mogąc zgodzić się na jedno. Simonides na mocy proroctw dowodził, że Ten, co nadchodzi, będzie władcą ziemskim; Baltazar trwał przy swej wierze.

W umyśle Ben-Hura oba te pojęcia godziły się ze sobą.

On sądził, że Nazareńczyk jest owym Odkupicielem dusz, o którym marzył egipski mędrzec, lecz może stać się królem, jak tego pragnął kupiec z Antyochii.

— Jutro przekonamy się, kto miał słuszność. A teraz pokój wam — mówił, żegnając się z nimi.

Przed świtem był już z powrotem w Betanii.

3. Trędowate opuszczają swój grób.

Pierwszą osobą, która nazajutrz wyszła przez bramę Owiec, była Amrah z koszykiem w ręku. — Straże nie zadawały już jej pytań, jutrzenka bowiem nie mogła akuratniej pojawiać się na niebie, jak ona u tych bram. Przeszedłszy wrota, skręciła we wschodnią dolinę.

Na ciemnej zieleni góry Oliwnej wznosiły się namioty, rozpięte tu przez ludzi przybyłych na święto Paschy. Lecz cicho było jeszcze pod nimi. Wszyscy spali. Mijając Gethsemane, mijając groby przy drodze do Betanii, szła dalej. Doszedłszy wreszcie do Ogrodów Królewskich, zwolniła kroku.

Czytelnik domyślił się zapewne, iż stara niewolnica egipska podążała tak do swej pani, której grób — jak sobie przypominamy — był naprzeciwko studni En-rogel. Pomimo wczesnej godziny wdowa Hur siedziała już przed jego otworem. W ciągu tych trzech lat choroba straszne uczyniła spustoszenia. A wiedząc, jak była wstrętną, nieszczęśliwa niewiasta okrywała się zawsze zasłoną, aby nie budzić w ludziach odrazy. Teraz jednak siedziała z obnażoną głową. O tej godzinie nikt nie mógł jej zobaczyć. Zmrok niezupełnie jeszcze ustąpił przed blaskiem jutrzenki, lecz w różowem jej świetle występowała wyraźnie ta grobowa postać.

Wyschłe jej, białe włosy w splątanych pasmach spadały na ramiona. Policzki, nos i usta zamieniły się w cuchnącą ranę. Szyja okryta była jednym szarym, ropiącym się strupem. Choroba wyjadłszy paznogcie, na miejsce ich pozostawiała jamy; na stawach sterczały nagie kości. Widząc ją tak zmienioną, łatwo było pojąć, jakim sposobem piękna niegdyś wdowa Hura zdołała się ukryć przed poszukiwaniami Judy.

Wiedziała, że skoro pierwsze promienie słońca ozłocą szczyty góry Oliwnej, wierna Amrah przyjdzie do studni En-rogel, napełni wodą jej konewkę i postawi opodal kosz z pożywieniem. Były to jedyne miłe chwile w dniu. Mogła wtedy rozmawiać o ukochanym synu, dowiedzieć się co robi i gdzie przebywa. Wieści te były wprawdzie bardzo skąpe, lecz pomyślne.

Od czasu do czasu Amrah oznajmiała jej, że Judah jest gościem w pałacu Hurów; wówczas to wdowa, wychodząc ze swego grobu, od brzasku przez dzień cały i aż do późnej nocy siadywała nieruchomie przed jego otworem, zapatrzona w jeden mały punkcik, gdzie stał ów dom tak drogi dla jej pamięci, a droższy jeszcze, gdy on tam przebywał. Z całego dawniejszego jej szczęścia, jak wytarty łachman z wzorzystej szaty, pozostał jej tylko ten drobny punkcik na skraju widnokręgu, nic nadto.

Gdy tak siedziała, zatopiona w myślach, ujrzała naraz kobietę zdyszaną, schodzącą pospiesznie ze wzgórza.

Trędowata niewiasta porwała się z kamienia i zakrywając głowę, poczęła wołać:

— Nieczysta! nieczysta!

W tej chwili, nie bacząc na ten okrzyk, Amrah przypadła jej do nóg. Tłumiony tak długo w sercu niewolnicy potok uczuć, wezbrał nagle.

Ze łzami, z jękiem, całowała suknie swej pani.

Wdowa Hur odepchnęła ją od siebie.

— Amrah! co robisz? — wołała. — Niedobra! niepoczciwa! jesteś zgubiona! Nie wolno ci już będzie wracać do niego!

Egipcyanka, ukrywszy twarz w ziemi, zanosiła się od płaczu.

— Przekleństwo prawa zaciążyło już i nad tobą. Nie możesz iść z powrotem do Jeruzalem. I cóż się stanie z nami? Kto przynosić nam będzie chleba? Kto napełniać dzbanki z wodą? O niedobra! zgubiłaś nas wszystkich! Niewierna sługo!

Tirzah, obudzona tym głośnym lamentem, ukazała się w otworze grobowca. Wyglądała okropnie. Ciało jej pokryte było strupami i sączącą się z ran ropą, ręce jej i nogi nabrzmiały potwornie, oczy za-

ledwie mogły dojrzeć światło dzienne. Nikt nie zdołałby poznać w niej dawnego powabnego dziewczęcia.

Stara sługa przypełzła do niej.

— Stój! — wołała wdowa — zabraniam ci jej dotykać. Wstań i uchodź stąd coprędzej, zanim ktokolwiek cię zobaczy. Lecz nie, już zapóźno. Musisz zostać i dzielić naszą niedolę.

Egipska niewolnica podniosła się na kolana i zaczęła mówić złamanym głosem:

— O pani moja! Nie gniewaj się na mnie. Nie jestem złą, nie jestem niewierną sługą. Zechciej wysłuchać mnie, przynoszę ci dobre wieści.

— Od Judy? — pytała matka skwapliwie.

Ona nie zdawała się słyszeć tego zapytania.

— Ukazał się — mówiła — mąż dziwny. Ten was uzdrowi. Dość mu powiedzieć jedno słowo, aby z trędowatych opadł trąd, aby umarli powstali z grobów. Przyszłam, żeby was do niego zaprowadzić.

— Biedna Amrah! — odezwała się Tirzah, patrząc na nią z politowaniem.

— Nie sądź, iż umysł mój się pomieszał. Przysięgam na wszechmocnego Jehowę, że wszystko to jest prawdą. Chodźcie coprędzej. Nie mamy czasu do stracenia. Dziś cudowny ten mąż ma przybyć do Jeruzalem. Patrzcie, dzień już się zbliża. — Prędzej, prędzej, jedzcie co wam przyniosłam i wyruszajmy w drogę!

Matka poczęła słuchać pilnie. Sława tej tajemniczej postaci przeniknęła w najciemniejszy kąt Judei, nawet do głębi grobowców u wzgórza Złej Rady.

— I cóż to za jeden? — pytała.

— Rodem jest z Nazarei.

— Kto ci o tem mówił?

— Pan mój, Judah.

— Judah? A więc jest w domu?

— Tak, przybył wczoraj wieczorem.

Serce matki zabiło gwałtownie.

— Czy to on przysłał cię do nas? — pytała.

— Nie. On was ma za umarłe.

— I skądże wie o tym człowieku?

— Szedł za nim, słyszał wołanie trędowatych i widział, jak odchodzili czystymi.

— To musi być Mesyasz! — zawołała matka po długiej zadumie, a w głosie jej brzmiała wielka radość, iż spełniły się już obietnice uczynione ludowi jej. — Był czas — pamiętam to dobrze — kiedy cała Judea rozbrzmiewała wieścią o jego urodzeniu. Dziś musiał już dobiedz wieku dojrzałego. To on, to on niewątpliwie. Pójdziemy z tobą, droga Amro. Przynieś nam co rychlej wody, a tymczasem pokrzepimy siły.

I wkrótce, spożywszy naprędce przyniesiony posiłek, wyruszyły.

Zeszedłszy ze wzgórza Złej Rady, puściły się Ogrodami Królewskimi i stanęły u rozstajnej drogi.

— Obawiam się iść gościńcem — rzekła matka. — Dzisiaj dzień świąteczny i widać tam wielką moc ludzi. Zejdźmy im lepiej z oczu. Pójdziemy przez wzgórze Wzgardy.

Tirzah dla obrzmiałych swych nóg szła z wielką trudnością.

— Góra jest stroma, matko, nie wejdę na nią — rzekła nawpół z płaczem.

— Nie zapominaj, że idziemy po zdrowie. Patrz, dzień już nastaje, słońce zeszło. Czy widzisz te kobiety, idące ku studni? Ukamienują nas, jeśli pozostaniemy tutaj. Chodź, zbierz wszystkie siły.

Amrah, nie bacząc na wstrętną chorobę, którą się mogła zarazić, podeszła do Tirzy i objęła ją wpół.

— Oprzyj się na mnie — mówiła. — Jestem silną pomimo lat sędziwych i droga niedaleka. Ot tak! A teraz możemy iść prędzej.

Istotnie wejście na górę było przykre. Co krok nogi zapadały w rozdoły lub potykały się o gruzy rozwalonych budowli. Lecz gdy nareszcie niewiasty stanęły u szczytu i przed oczyma ich roztoczył się widok na całe miasto, serce wdowy zabiło silniej, pragnienie życia odżyło w niem znowu.

Amrah z całych sił podtrzymywała Tirzę, pomimo to jednak nieszczęśliwa dziewczyna jęczała za każdym krokiem i ledwie mogła zejść z góry. U stóp jej powaliła się, jak kłoda.

— Matko, idź dalej sama. Zostaw mnie tu — mówiła umierającym głosem.

— Ja miałabym cię porzucić? I cóż mi po zdrowiu bez ciebie? Cóż powiedziałabym Judzie, gdyby mnie pytał o siostrę?

— Powiesz mu, żem go kochała.

Biedna wdowa potoczyła naokoło wzrok pełen rozpaczy.

Nadzieja poczynała w niej zamierać, a gdy ona gaśnie i dusza zda się opuszczać ciało. To dziecię jej było jeszcze młode, mogło zacząć życie na nowo i zapomnieć, w zdrowiu i weselu, o latach cierpienia i niedoli. I oto miało ginąć marnie!

Lecz dzielna niewiasta nawet w tej strasznej chwili poddawała się wyrokom Opatrzności. A gdy poranione jej usta szeptały słowa modlitwy, na drodze, od strony wschodniej, ukazał się jakiś człowiek i szedł szybkim krokiem w ich stronę.

— Odwagi, Tirzo! — wołała matka — patrz, oto ktoś zbliża się ku nam. Dowiemy się może, którędy idzie Nazareńczyk.

— Zapominasz, droga matko, czem jesteśmy. Człowiek ten, miasto odpowiedzi, rzuci nam kamień lub przekleństwo.

— Zobaczymy — rzekła wdowa, choć była pewną, że sprawdzą się słowa córki, nie zaś te, któremi starała się podtrzymać w niej ducha.

Jakeśmy to już mówili, droga ta była raczej wąską ścieżyną. Biegła ona pomiędzy wapiennymi pagórkami, tak, że nieznajomy nie mógł wyminąć siedzących przy niej kobiet. Gdy był już blisko, wdowa wydała nakazany prawem okrzyk:

— Nieczyste! nieczyste!

Ku jej zdumieniu człowiek, choć słyszał te słowa, nie cofnął się; przeciwnie, zbliżał się coraz bardziej.

— Czego chcecie? — zapytał, stając naprzeciwko nich.

— Odstąp od nas! Jesteśmy trędowate!

— Kobieto! Poprzedzam Tego, który przemawia jedno słowo do takich, jak ty, a są uzdrowione. Nie obawiam się was.

— Mówisz o Nazareńczyku?

— Tak, o Mesyaszu — odparł uroczyście.

— Prawda-li to, że przybywa dziś do Świętego Miasta?

— Jest teraz w Bethfage.

— Jaką drogą przechodzić będzie, o panie?

— Tą właśnie.

Złożyła ręce w dziękczynieniu niebom.

— I cóż o nim mniemasz? — zapytał człowiek ów, litością tknięty.

— Wierzę, iż jest Synem Bożym.

— Jest nim zaiste. Pozostań jeno tutaj, lub nie, otacza go tłum wielki, wejdź raczej na skałę tę i stań pod drzewem, a gdy będzie przechodził, wołaj. Jeśli wiara twoja jest silna, usłyszy cię, choćby wszystkie grzmoty spadały z nieba. Ja teraz idę oznajmić tym wszystkim, co są w mieście i tym, co przybywszy ze stron dalekich, roztasowali się w okolicy jego, że Mesyasz już jest blisko, aby się gotowali na Jego przyjęcie. Pokój tobie i twoim, niewiasto!

Ze słowami temi oddalił się.

— Słyszałaśże, Tirzo? — zawołała matka. — Nazareńczyk idzie i idzie właśnie tą drogą! Kilka jeszcze kroków — ostatnich, a staniemy u tej skały.

Tirza podniosła się z ziemi przy pomocy Amry.

— Patrzcie! — zawołała nagle ta ostatnia — nieznajomy powraca.

— Słońce wzniesie się wysoko na niebie — rzekł on, zbliżając się — zanim Mesyasz przechodzić będzie tędy. A że miasto jest opodal i mogę w niem dostać wody, weźcie tę, którą mam przy sobie i bądźcie dobrej myśli.

Mówiąc to odpasał skórzany worek. I nie złożył go na kamieniu, aby wzięły, gdy się oddali, lecz sam podał go wdowie Hura.

— Izraelitą-li jesteś? — pytała zdziwiona.

— Tak, i co ważniejsza, jestem uczniem Chrystusa. Codziennie przykładem i słowem uczy On nas tego, com dla ciebie uczynił. Świat powtarza słowo: miłość bliźniego, lecz nie rozumie go wcale. Żegnam cię powtórnie, kobieto. Pokój tobie i twoim.

Odszedł, a one powoli poczęły się wspinać na skałę, którą im był ukazał. Wznosiła się o jakie trzydzieści łokci ponad drogą i każdy, co nią przechodził, musiał je widzieć.

Tam to schroniwszy się pod cieniem drzewa, spalone usta odświeżały wodą.

Tirza usnęła wkrótce ze znużenia.

Bojąc się ją obudzić, obie siedziały w milczeniu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jak tą jasną, poranną zorzą,
Anioł skrzydlaty przed wschodem słońca
Nas rozwesela za łaską Bożą,
Tak wy szczęśliwi bądźcie bez końca
Kochani Bracia, wy Jantki moje!...
Opatrzność święta niech w was roznieci
Moc na trud życia i pracy znoje;

Weseli bądźcie, wy polskie dzieci.

Dziś w dniu Imienin, składam życzenia,
Niech się wam darzy w polu, na roli
I w domu dobytek niech się przyczynia,
Ufajcie!... Będzie po waszej woli.

I srebrne łany, kłosem szumiące
Moc Boga dla was zachowa Bracia
I poodpędza klęski niszczące —
Eden zgotuje na drogę życia.
Niechaj wam zdrowia użycza Bóg
I niech pokoju stubarwny wieniec
Na skroni jaśnieje wśród życia dróg

Tego wam życzy z serca Wawrzyniec

Pietrucha.

Gawędy o Różnych Sprawach.

Niebezpieczeństwo wojenne.

Kto wie, czy nie jesteśmy w przededniu wojny Rosyi z Chinami. Położenie w Azyi zaostrza się z każdym dniem. Ludność rosyjska spokojna, nie chce wojny, ale dąży do niej rząd, który jest wszechwładny. Już od dwóch miesięcy jest rzeczą jasną, że Rosya przysposabia się do wojny z Chinami, ufna w swój sojusz z Japonią, od której przed pięciu laty dostała tak straszne cięgi, że jeszcze dotąd się z nich nie wylizała. Ale też właśnie dlatego, że duma cara i rządu na tem bardzo cierpi, że dostał od małej, lecz bohaterskiej Japonii w skórę, dlatego chce za wszelką cenę swą opinię wojenną poprawić i wojować z byle kim, byle był słabszy lub dał się pobić. Minister wojny Suchomlinow od miesiąca objeżdża wschodnią Syberyę, gdzie zabawi jeszcze około dwóch miesięcy, aby osobiście dozorować przygotowań wojennych, robionych tam na wielką skalę.

Dzienniki rosyjskie, omawiając te przygotowania wojenne, stwierdzają, że rzeczywiście są one wielkie, że twierdze są bardzo silne i mogą ze swych armat prażyć nieprzyjaciół, oddalonych o 40 kilometrów. Twierdze te są obwarowane tak silnie, że na oko wydają się nie do zdobycia i że armaty i pancerniki całego świata nie zdołają ich zniszczyć. Byleby tylko chleba i pocisków starczyło. Gdy się jednak bliżej wniknie w tajniki tych twierdz, widzi się, że wszystkie one, mimo swej pozornej potęgi, są słabe i chore, bo niema wśród ich załogi ani krzty patryotyzmu lub zapału wojennego. Bo za cóż ich wojsko ma się bić z zapałem. Przecież nic narazie nie grozi ze strony Chin ojczyźnie. Car tylko chce wojny, jak każe, to się muszą bić, jednak czy zwyciężą, czy zostaną pokonani, nie wiele ich to obchodzi.

Rosya chce coraz większego panowania nad krainami o 1000 mil odległemi, a mniej dba o dobrobyt i szczęście ludności. Posiada olbrzymią Syberyę niezaludnioną, większą od Europy, a jeszcze pragnie dalszych zdobyczy, gdy tymczasem w centrum Rosyi, w Europie, pola leżą odłogiem, chłop rosyjski nie umie nawet ich należycie uprawiać z powodu ciemnoty, w jakiej go rząd od wieków trzyma.

Car obarcza go podatkami a niczego mu za to nie daje, za krwawo zapracowane jego pieniądze trzyma czynowników, którzy go gnębią, i sprawia armaty, aby módz zaczepiać i napadać spokojne narody. Obliczono, że 50 lat panowania rosyjskiego na dalekim wschodzie Azyi kosztuje już Rosyę setki milionów, a licząc razem z wojną i koleją mandżurską, przeszło 4 miliardy rubli. To też lepiejby Rosya zrobiła, żeby zamiast przysposabiać się do wojny z Chinami, pieniądze te przeznaczała na podniesienie włościan, na oświatę ludności i na podniesienie rolnictwa. W samym środku państwa leżą jeszcze ogromne pustynie, setki milionów morgów nieobrobionej ziemi — nietknięte olbrzymie bogactwa naturalne.

Zresztą i z Chinami wkrótce nie będzie można żartować. Jest ich przeszło 400 milionów, gdy ludności w państwie rosyjskiem 70 milionów i jeżeli się zorganizują silniej i utworzą bitne wojsko, mogą być niebezpiecznymi nietylko dla Rosyi, ale i dla całej Europy.

Zdaje się jednak, że Rosya dobrze się namyśli, zanim rozpocznie wojnę, pamiętna niedawnych cięgów, jakie od Japonii otrzymała, a które i teraz mogłyby ją spotkać.

DZIECI PRZED PANEM JEZUSEM.





Z mojom zeniacką to coraz jaśniejsa sprawa się robi. Do zeniacki, jak wszyćkiem wiadomo trzeba ino pięć rzecy: chłopa, baby, księdza, piniędzy i organisty, coby na chórze ładnego marsia wygrał.

Z tych pięciu rzecy śtyry juz mam w garści. Chłop i to nie byle jaki, to nie przymirzając, ja sam, Maciek Bzdura; baba takoj jest a woła się Kaśka Myrdalonka. Jest to także baba nie byle jaka, bo w sobie przystojna, zeby na niej cwórką hrabskich koni nawrócił. Jegomościa takze nie braknie, bo choćby nawet jeden zmarł, to zaraz drugiego, gotowego, z fabryki przysyłają, aby ludzi chrzcił, śluby dawał i pochowki wycyniał. O organistę równiez nie ma turbacye, bo nas jesce zdrowy i duzo jeść potrafi, a choćby i jego brakło, to grobarzby go zastąpił, bo to takze osoba duchowna.

Te śtyry rzecy zatem są juz zrobione na gotowo, ino tej jednej, piątej, mi brakuje, to jest pieniędzy.

Wam się moze zdaje, ze piniądze to taka bagatelna rzec. Zackać! — piniądz, to nie byle co, ale prawdziwy piniądz. A do zeniacki piniądzów trza, jak lodu, bo wszyscy człekowi w garść patrzą.

Najprzód trza se kupić fajkę, abo choćby tutonu za śtyry grajcary na papirusy, bo jakzeby to pan młody bez tego wyglądał. Potem trzaby kupić jakiego wódcyska, bo z cemzebym posed do Kaśki na zmówiny? Przecie z wodą nie pójdę, ale trza wódki koniecnie, juz choćby nie dla picia, ale dla zwycaju.

Jakzebym się spytał, posedsy do Kaśki:

— Kaśka, odkręcić, cy nie odkręcić? — gdybym wódki ni miał?

Jakby Kaśka pedziała: — Nie odkręcić — toby ta jesce i woda ulazła, ale ze to Kaśka na wódcysko okrutecnie łakoma, to pewnikiem zaraz darłaby się: — Odkręcić! — a wtencas coby było, jakby we flasce była woda, ha?

La tego tez trzaby na wódkę choć ze dwa szóściele, co będzie razem z tutonem za śtyry grajcary, papirkami za grajcar, razem dwadzieścia pięć nowych. Siarników to mi gospodyni przecie moze dadzą zadarmo.

A teraz opowiedzi i ślub! Jegomość, ze to człowiek okrutecnie ucynny, jesce łońskiego roku obiecali mi, ze ślub dadzą mi zadarmo i zapowiedzi ogłoszą zadarmo, ale gorzy z organistom, bo ten nic nie ustąpi. Organista zawse pada tak:

— Jegomościowi wolno prezenta robić i z chrztów i ze ślubów i z pogrzebów, ale ja mam dziecisków paręnaście, toby mnie Pan Bóg skarał, jakbym je okradał i prezenta robił.

La tego tez na organistę trzaby moc piniędzy i tak okrągło rachować, to kto wie, cyby i korona spiestrzała. Ale rachujmy ino koronę, toby juz było razem: korona, dwie szóstki i pięć nowych.

To tyla piniędzy przed ślubem, a po ślubie?... Ale to juz porachuję na drugi raz, bo mnie dziś z tego wszyćkiego jaze łeb rozbolał.

Schwytanie Bąka.

(Nowela — z obrazkami Ks. Władysława Staicha).

Wieczór był niepóźny, ale bardzo ciemny; na niebie, usłanem chmurami, nie świeciła ani jedna gwiazda, wiatr posuwiście hasał, wirującemi słupy wzbijał się w górę. Z jednej strony, na górze, panowała zupełna pustka, tu i owdzie tylko przerywana czarnemi, cienkiemi liniami drzew, z drugiej strony, wyżej jeszcze, wiejskie domostwa kreśliły na tle ciemności łańcuch grubych, czarniejszych niż ona punktów. Połyskiwały też one rzędem drobnych świateł, podobnych do czerwonawych, mrugających oczu.

Zdaleka posuwała się postać zupełnie samotnego człowieka. Wydawała się ona cienką linią, szybko przerzynającą grube, ale mniej od niej czarne ciemności.

Wznoszące się ze stron obu wysokie ściany kotliny zmniejszały jej rozmiary, możnaby myśleć, że jest to nieskończona małość, płynąca po morzu nieskończonej wielkości. Wielkie morza nocy i samotności rozlewały się wkoło niej; zbałwanione, szumiące wichry zdawały się nieść ją po szerokiem, dzikiem, ponurem łonie natury, wobec której sił, gróźb i ogromu, była ona kroplą, okruchem, ziarnkiem piasku, źdźbłem trawy, upadłem na dno przepaści.

Jednak pomimo pozorów nadawanych mu przez otoczenie, człowiek idący po dnie przepaści silnym być musiał, bo jak zręczny i wyćwiczony pływak porze wzburzone wody, tak on szybko, niezachwianie, w linii prostej, pruł posuwiste fale i wirujące słupy wichrów. To, co go otaczało — jakkolwiek czarne, dzikie i bezludne — nie czyniło kroku jego powolnym, ni trwożnym. W zamian coś go z tyłu popychało, gnało, parło coraz dalej, coraz gwałtowniej. Ku czemu? Ku jakiemuś może punktowi wybawienia, czy schronienia, widzialnemu tylko jego oczom, ciemnością i uderzeniami wichrów oślepianym, a może i tym oczom nawet nieznanemu i tylko ognistemi zgłoskami wypisującemu na tle nocy naglący krzyk: Naprzód! naprzód! byle dalej!

Szedł prędko, równo, w linii niezachwianie prostej, cicho jak widmo, sunące po mniej czarnych niż ono ciemnościach; czasem tylko u stóp jego rozlegało się krótkie, metaliczne stuknięcia kija o wystający kamień wybrzeża.

Wtem stanął, jak wryty, stanął i głowę podniósł ku rozciągniętemu na górze łańcuchowi czarnych punktów, czerwonawemi światełkami mrugających. Na łańcuch ten widocznie patrzył, a w pogwizdy wichru, który z pod stóp jego wybuchnął wirującym słupem, wmieszał się okrzyk ludzki, pełen zdziwienia, z jednego tylko, lecz przeciągłego dźwięku złożony:

— A!

Po ruchach jego głowy poznać można było, że z usilnem wytężeniem wzroku spoglądał na rzekę, na szczyt przeciwległej ściany, pusty i tylko rzadkiemi liniami cienkich drzew majaczący, na mdławo bielejące zagłębienia i garby tej wyniosłości, u której stóp postępował zwolna, coraz wolniej.

...Niegdyś, niegdyś w błękicie i złocie letniego dnia, nad tą rzeką schylała się młoda jeszcze chłopka w pstrej spódnicy, do wysokości kolan podniesionej, z pralnikiem, którym silna jej ręka rozgłośnie uderzała o szare płótna, przykryte płynnym kryształem wody. Tuż za nią z łozinowego kosza, osłoniętego czerwoną chustą, wydobywało się na świat boży małe, pyzate, lnianowłose dziecię i ciekawemi, chciwemi świata oczami patrzyło na błękity i złoto dnia letniego, na usiany kamieniami piasek wybrzeża, na płynne kryształy wody i schyloną nad niemi,

białym pralnikiem szare płótna uderzającą, na silnych i nagich nogach, jak na potężnej podstawie opartą matkę...

Znów stanął. Tam, gdzie na górze ostatniem ze wszystkich światełkiem mrugał ostatni czarny i nieco od innych grubszy punkt łańcucha, od dołu wspinać się zaczynała droga szeroka, po mniej stromej niż gdzieindziej spadzistości sunąca coraz wyżej. Z jednej jej strony stały w ciemnościach i zcicha szumiały sosny, z drugiej wiły się cienie płotków.

Stanął, na drogę pnącą się w górę wytężonym zapewne wzrokiem patrzył i znów w szum wichru, wmieszał się okrzyk ludzkiego głosu, pełen zdziwienia:

— A!

Długo stał w początku drogi. Wahał się, czy z samym sobą walczył? Kijem silnie uderzył o kamień, rękę do głowy podniósł i wnet ją wzdłuż ciała opuścił.

Zwolna, coraz wolniej iść zaczął drogą, wspinającą się po spadzistej górze, coraz wyżej...



...Niegdyś, niegdyś drogą tą na tę górę wcho-dził chłop wysoki i silny, białą koszulą świecąc w jesiennej mgle, bose stopy zatapiając w piasku, a na plecach niosąc sieć, przez której szerokie oka połyskiwały srebrne łuski i różowe skrzela rybie. A za nim wyrostek bosonogi, z hardo odrzuconą głową, z zawieszoną na ramię, wyższą od niego, wędą, biegł jak młode źrebię, grzywę swoją rozwiewając, podskakując ku braciom, którzy ciekawie wyglądali z za płotu, dzieje połowu opowiadając tak rozgłośnie i tryumfująco, że głos jego daleko rozlegał się po wsi i pomiędzy rzadkie sosny wpadając, rozbijał się nad mogiłami w tysiąc śpiewnych, wesołych dzwonków.

Wszedł pomiędzy sosny i kilka razy potknął się o mogiły, niskimi krzakami otoczone i tuż przy ziemi niskimi krzyżami sterczące. Jak olbrzym domki liliputów, szerokimi krokami przestępował mogiły i krzaki, kierując się ku czemuś, co czerniało po środku wiejskiego cmentarza, znacznie wyższe od krzaków, a niższe od drzew, które teraz pod dotknięciem wiatru głośno zaszumiały i ciszej, przeciągle westchnęły.

Stanął i zbliska patrzył na ściany cmentarnej kapliczki, na drzwi jej próchniejące, wykrzywione, jednak zamknięte. W westchnienia drzew, zwolna poruszających w ciemnościach wachlarze swych gałęzi, wmieszał się dźwięk ludzkiego głosu, do westchnienia podobny:

— A!

Rękami uczynił parę żywych poruszeń, coś metalowego zadzwoniło mu w palcach i chwilę dzwoniło przy drzwiach, aż otworzyły się one i ukazały głąb kapliczki czarną, w górze dwoma małemi oknami, jak mgławo srebrnemi plamami, świecącą. Wszedł i na chwilę zlał się z czarną ciemnością, ale wkrótce u wysokości jego piersi błysnął ognik latarki, który przecież najcieńszej nitki światła na niego nie rzucił. Była to latarka kryta, mała; światło jej wąskim i chwiejnym strumieniem wymykające się z za małej szyby, blaszanem półkolem z trzech stron osłoniętej, odwrócił od siebie, a skierował ku niskiemu ogrodzeniu, za którem u ściany, na wielkich plamach pleśni, mętnie zamajaczyły linie rozpiętego na krzyżu Chrystusa. Z wielkiego, drewnianego, prostaczą ręką wyrzeźbionego krucyfiksu, wąski i chwiejny strumyk światła przesunął się nieco dalej i oświecił obraz, na którym Bóg Ojciec w falującej, szkarłatnej szacie dłoń trzymał na białawym globie, Bóg Syn w spłowiałych szafirach dwa palce wznosił w górę, a Bóg Duch św. białym gołębiem z rozpiętemi skrzydły ulatywał aż pod czerwoną ramę obrazu.

Znów strumyk światła zakołysał się w czarnej przestrzeni i upadł na wielką, grubą szmatę papieru, bez ram wiszącą u wystającej deski ściany. Tam św. Jerzy, z rozwiniętym nad głową proporcem, pędził na koniu, malowanym w białe i czarne pręgi, a w chwiejnym strumieniu światła postać ludzka, kształty zwierzęce i linie proporca, ukazując się, to znikając, to wydłużając się, tam skręcając, tworzyły całokształt dziwny, naturze nieznany, do apokaliptycznych potworów albo rycerzy podobny. Dokoła kapliczki przeciąglej, rozpaczniej westchnęły drzewa, wiatr z jękiem wpadł przez szczeliny okien i zaszamotał starą kartą, która wzdęła się i, jak skrzydło ptasie, z szelestem uniosła się w górę. Zdawać się mogło, że apokaliptyczny rycerz zrywa się z miejsca i z proporcem, podobnym do kosy, na koniu o lwiej grzywie, wnet w przestrzeń uleci. W jęki wiatru, przez szczeliny okien wlatujące, wmieszał się szept ludzki, gruby, przerażony:

— Jezusie miłosierny! ratuj duszę moją!

...Niegdyś, niegdyś pacholę chłopskie, w świąteczną sukmankę odziane, przez matkę za rękę tu przyprowadzone, klękało u drzwi tej kapliczki — i z trwogą, która walczyła z zachwytem, wznosiło błękitne, niewinne oczy na wielki krucyfiks i wymalowanego wśród papierowej karty konnego rycerza z proporcem.

Latarkę zgasił. Wyszedł z kapliczki, drzwi jej pozostawił otworem i nie zatrzymując się już ani chwilę, krokami olbrzyma przestępował krzaki i mogiły.

Z cmentarza wszedł na drogę, szerokość jej przebył i rękę położył na wrotach pierwszej z rzędu zagrody wsi. Zanim je otworzył, wytężonym wzrokiem na chatę w głębi podwórka stojącą popatrzył i raz jeszcze przeciągle wymówił:

— A!

Głową zakołysał, jak ktoś głęboko, zdziwiony.

Wrota skrzypnęły, drobny cień psa szybko i z głośnem szczekaniem od progu chaty posunął się podwórkiem; z za okna mrugającego w ciemnościach czerwonawem światłem, słychać było głos gruby, silny, ale świeży, młodzieńczy, prędko, długo, nieprzerwanie opowiadający o czemś, opowiadający, opowiadający...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z TYGODNIA.

Wiec polakożerców. Prusacy w swojej nienawiści do Polaków stają się już podobnymi do drapieżnych zwierząt. Ubiegłego tygodnia urządzili w Poznaniu ogromny zjazd przeciw Polakom i rządowi pruskiemu, który jakkolwiek równie nieuczciwy przecież chce zachować zimną krew i nie leci na pierwszy lepszy rozkaz hakatystów i wstrzymuje się dotąd od wywłaszczania Polaków z ich ziemi. To też na kongresie tym z powodu niezastosowania ustawy o wywłaszczaniu Polaków było bardzo wielkie oburzenie. Mowcy kłamali, że Prusom grozi wielkie niebezpieczeństwo ze strony Polaków. Za przykład stawiano, że od 1 czerwca 1910 do teraz przeszło 90.000 morgów w Księstwie Poznańskiem w ręce polskie. Błagano rząd, aby przeprowadził wywłaszczenie choć jednego polskiego wieśniaka, aby w ten sposób ośmielić rząd do dalszych wywłaszczeń. Wysłano nawet telegramy powitalne do cesarza Wilhelma II i kanclerza rzeszy niemieckiej, aby ich zjednać dla tej podłej sprawy. Uchwalono wkońcu rezolucyę, wyrażającą oczekiwanie, że rząd z całą siłą będzie kolonizował Niemcami i niemczył prowincye polskie i wytykano w tej uchwale rządowi, że nietylko nie wprowadza w czyn ustawę, wywłaszczającą, ale nawet zapowiada ograniczenie działalności komisyi kolonizacyjnej, która ma za zadanie wykupywać z rąk polskich ziemie i obsadzać je Niemcami i że rząd to czyni właśnie wtenczas, gdy dobrodziejstwo tej ustawy mogłoby rozstrzygająco zawisnąć na szali. Potem hakatyści urządzili ucztę, na której przy brzęku szklanek wypowiedzieli dalszy stek oszczerst i nienawiści do Polaków. Podchmieleni chcieli urządzić uroczysty pochód ulicami miasta, ale przeszkodziła temu policya.

Kongres ten, o którym rozpisywały się tysiące gazet, jest jednym więcej dowodem, jak nas nienawidzą Prusacy. Nienawidzą zaś nas nie dlatego, żebyśmy byli źli, owszem jesteśmy od nich bez porównania lepsi, ale dlatego nas nienawidzą, bo się nas bardzo boją i to nam powinno dodawać otuchy i zachęty do pracy i zgody.

Rozruchy w Rosyi. W miejscowości Nieszin w Rosyi przyszło przed kilku tygodniami do rozruchów przeciw żydom. Podczas jarmarku pewien wieśniak zawołał, że żyd dał ma fałszywy banknot. Wtedy zebrani licznie włościanie zaczęli bić żydów kijami, batogami i rzucać na nich kamieniami. Policya z początku nie mogła nic poradzić, dopiero konna policya rozpędziła wieśniaków knutami. W rozruchu tym jeden policyant został ciężko ranny, kilku lekrannych i jeden żyd ciężko zraniony. Aresztowano 52 wieśniaków. Już nieraz pisaliśmy, że do takich rozruchów przeciwżydowskich może przyjść tam, gdzie lud jest bardzo ciemny. Inne narody oświecone nie lubią też żydów, lecz ich nie biją, tylko nie dadzą się im wyzyskiwać. Nie chcą z żydami robić żadnych interesów, nie kupują u nich nic i nie dopuszczają ich do siebie. To też w tych państwach jest kilkadziesiąt razy mniej żydów, niż n. p. u nas i w Rosyi. Ciemny zaś lud da się żydom wyzyskiwać ze wszystkiego, a gdy dojdzie do rozpaczy dopuszcza się na nich gwałtów, które muszą być karane i jeszcze więcej lud rujnują.

Numer następny »Roli« wyjdzie z dwudniowem opóźnieniem, gdyż z powodu uroczystego święta Bożego Ciała nie moglibyśmy wydrukować wyniku wyborów wiejskich w Galicyi Zachodniej, które odbędą się we wtorek 13 czerwca.

KRONIKA.

Nowa czytelnia na wsi. Zasłużone Towarzyrzystwo Oświaty ludowej nie ustaje w zakładaniu czyteln wiejskich. Dnia 28 maja w Lipnicy murowanej w powiecie bocheńskim po nieszporach odbyło się uroczyste otwarcie czytelni. W pięknie przystrojonej sali budynku szkolnego zgromadziło się miejscowe duchowieństwo, okoliczne nauczycielstwo, reprezentacya gminna z burmistrzem Drem Adamem Schmidtem na czele, mieszczaństwo, lud wiejski. Zebranie zagaił ks. kan. Stanisław Gajewski przemówieniem o znaczeniu czytelni wogóle, poczem kierownik szkoły wygłosił odczyt o wartości oświaty i wiedzy. Po odśpiewaniu kilku patryotycznych pieśni przez dziatwę szkolną, burmistrz p. Dr. Adam Schmidt, oraz obywatel p. Jan Piotrowski w gorących słowach dziękowali Towarzystwu Oświaty ludowej za założenie czytelni. Wydział Towarzystwa zaopatrzył bibliotekę na razie w przeszło 100 tomów rozmaitej treści.

Pożar w Bronowicach. Dnia 1 czerwca b. r. w Bronowicach małych pod Krakowem spaliło się 7 gospodarstw. Brak wody i silny wicher utrudniał strażom ogniowym ratunek, wskutek czego wszystkie objęte pożarem budynki doszczętnie zgorzały. Szkoda przez pożar wyrządzona wynosi przeszło 50.000 kor. ale była częściowo ubezpieczona.

(F. S.) **Nieprzyjemny wypadek.** Często człowiek wychodząc z domu ani pomyśli, co go może spotkać w drodze a zwłaszcza w tak piękny i spokojny dzień. Otóż następujący wypadek zdarzył się w niedzielę 4 czerwca w Laskowej w powiecie limanowskim. Idący tłum ludzi na sumę do tutejszego kościółka wszedł na ławę, nad rzeką Łososiną, która była już słaba, nagle spadły belki, wraz kilkanaście ludzi do wody, szczęście że woda była niegłęboka bardzo, bo byłby może niejeden życiem przypłacił. Ludzie ci powracali stąd, pomoczeni w wodzie, do domów, a którzy nie mogli iść, to ich odprowadzono. Jeden miał silnie potłuczone piersi, bo spadł na pale.

A to się dobrali! Niedawno w jednem z miasteczek galicyjskich sąd rozstrzygał następującą sprawę: Woźny Wilk zaskarżył kupca Josla Kanarka o obrazę honoru za to, że go w sprzeczce nazwał głupim dudkiem. Wilkowi nie podobało się widocznie, że go Kanarek zaliczył do ptaków i obrażony zwrócił się do adwokata Kosa, w imieniu którego koncypient jego dr. Kozioł wniósł skargę o obrazę honoru. Rozprawa odbyła się przed sędzią Dr. Lisem, a jako świadek miał być przesłuchany policyant miejski Zając. Sędziemu udało się pogodzić zwaśnione strony. Kanarek bowiem cofnął swego dudka, wskutek czego Kozioł w imieniu Wilka odstąpił od skargi, a sędzia Lis uwolnił Kanarka od winy. Zając nieprzesłuchany odszedł do domu.

(J. M.) **Samobójstwo.** We środę 31 maja b. r. zastrzelił się w Bielsku na Śląsku austryackim młodzieniec dwadzieścia lat liczący, nazwiskiem Mika. Powodem samobójstwa była nieszczęśliwa miłość ku pewnej dziewczynie.

(R. S.) **Nieszczęśliwy wypadek.** Dnia 1 czerwca w miasteczku Karwinie, na Ślusku, stał się następujący wypadek: Parobek od koni niejakiego Przybyły z Olbrachcic jechał do szybu Homegera po węgle i miał właśnie przejeżdżać przez tor kolejowy, gdy nagle nadjechał pociąg i uderzył tak silnie w wóz, że zaraz konie uciekły a parobek dostał się pod koła pociągu i tak wkrótce zmarł, ponieważ go pociąg przejechał przez sam środek. To nieszczęście nie stałoby się, gdyby maszyna ciągła wozy,

albowiem je tylko cisła, a po drugie, że to było z pagórka, więc parobek nie mógł powstrzymać koni.

Strzał z zemsty. W pewnych większych dobrach w Galicyi wschodniej mieszkało w jednej wsi dwóch gajowych. Można powiedzieć, że jeden był mądry, drugi głupi. Pierwszy lubił żartować i kpić z towarzysza, ale nie był złym człowiekiem i krzywdy mu nigdy nie zrobił. Drugi znów, zamiast pięknem odpłacić się za nadobne i z kamrata też pożartować i wszystko w śmiech obrócić, powziął do niego straszną nienawić. Nieraz przy kieliszku w karczmie odgrażał się, że mu jego kpinek nie daruje. I w istocie uczynił, co przyrzekł.



Gdy pewnego wieczora gajowy, po odbyciu służby wrócił do domu, naraz z za otwartego okna zabłysła lufa strzelby i huknął strzał. Gajowy trafiony został grubym śrutem w nogi. Mściwego jego towarzysza z łatwością odszukali żandarmi i zaprowadzili do aresztu, a wesoły kpiarz poszedł leczyć się do szpitala. W każdym razie będzie miał naukę, że żartować można tylko z człowiekiem, co się na żartach rozumie.

Śmierć na łódce. W zeszłym tygodniu w nocy strzelił rosyjski strażnik graniczny do niejakiego Stanisława Wilkosza, gdy powracał Wisłą na stronę galicyjską, przewiózłszy poprzednio łódką przez Wisłę przemytników, przenoszących towary do Królestwa. Rybacy mieszkający nad brzegiem Wisły, słyszeli w nocy jęki wydobywające się z nad brzegu, lecz z powodu ciemności nocy i gęstych zarośli okalających nie byli w stanie nieść pomocy. Dopiero nazajutrz rano znaleziono Wilkosza w łódce bez życia leżącego, z twarzą okropnie zeszpeconą, a obok niego paczki przeznaczone do przemycenia za granicę. Stanisław Wilkosz od dawnych lat trudnił się przewożeniem przemytników, a zawsze szczęśliwie, tym razem jednak podczas nocy strzał go dosięgnął.

Świętokradztwo. Przed niedawnym czasem po skończonej sumie w jednej ze świątyń w Radomiu, w Królestwie Polskiem, usiłowano popełnić świętokradztwo. Czynu dopuścił się były urzędnik jednej z instytucyi tamtejszych. Młodzieniec, przybrany jak na bal, po sumie, gdy pobożni opuścili kościół, zaczął odrywać w zakrystyi puszkę z ofiarami. Tymczasem organista, modlący się w kościele, usłyszał szmer, przywołał zakrystyana i obaj przeszkodzili świętokradcy. Tylko przez wzgląd na rozpacz nieszczęśliwego ojca, który przywołany wymierzył doraźną sprawiedliwość synalkowi, zdecydowano się sprawy nie rozwałkowywać. Będzie to zapewne nauką na przyszłość dla lekkomyślnego młodego człowieka, aby nie próbował więcej złodziejskich sztuczek, zwłaszcza w kościołach, bo to najohydniejsza kradzież.

Nowa sekta religijna w Królestwie. Donoszą z Warszawy, że założona przez Żebrowskiego byłego księdza maryawickiego, nowa sekta »chrześcijan ewangelicznych« bardzo szybko się rozwija i otrzymała już od władzy rządowej pozwolenie na sporządzanie aktów stanu cywilnego dla wyznawców swoich. Odbyło się poświęcenie kaplicy nowych sekciarzy w Warszawie. Rząd rosyjski bardzo popiera każdą nową sektę, będącą odszczepieństwem od Kościoła katolickiego, bo każda taka nowa »religia«, to osłabienie Kościoła. Maryawici okazują też wielką sympatyę do cerkwi prawosławnej, szukają zbliżenia z nią, co oczywiście tak u rządu, jak i dostojników prawosławnych jest bardzo mile widziane. — Prawo tolerancyi religijnej, to jest wolności zmieniania religii najłatwiej zastosować można pod rządem rosyjskim, gdy się religię katolicką porzuca i staje się wrogiem Kościoła i papieża, ale gdy prawosławny chce przejść na naszą prawdziwą wiarę, to robią mu tak popi, jak i władze świeckie wielkie trudności.

Skutki niemądrych zabobonów. Przed kilku tygodniami zgłosiła się do jednego ze szpitali na Górnym Śląsku 28-letnia dziewczyna, chora na zapalenie wewnętrzne brzucha. Cierpienia jej były tak straszne, że śmierci spodziewano się dnia każdego. Wreszcie przedsięwzięto operacyę, która udała się szczęśliwie, przyczem wydobyto z wnętrzności owej dziewczyny szpilkę do włosów. Na zapytanie zdumionych lekarzy odpowiedziała dziewczyna, że szpilkę połknęła z porady wróżki, celem zdobycia pieniędzy. Tymczasem mimo połknięcia szpilki pieniędzy nie znalazła, a natomiast lekkomyślność swą omal życiem nie przypłaciła.

O wstrząsającym wypadku opowiadają gazety czeskie. W pewnej kamienicy miał się odbyć pogrzeb byłego kapitana, człowieka już starego, który mieszkał z sędziwą matką i niemłodą już, chorowitą siostrą. Kiedy sąsiedzi, nie widząc żadnych przygotowań do pogrzebu, weszli do mieszkania, znaleźli zamiast jednego, troje nieboszczyków: kapitan leżał z krucyfiksem w rękach, obie kobiety zaś spoczywały snem wiecznym na fotelach. Ze znalezionego listu okazało się, że matka i córka, straciwszy środki utrzymania przez śmierć, pobierającego pensyę kapitana, popełniły z rozpaczy samobójstwo przez zażycie morfiny. W liście znajdowała się prośba o pogrzeb na koszt miasta.

Samobójstwo siedmioletniego chłopca. W Wiedniu zdarzyło się niezwykłe samobójstwo. W szkole ludowej podczas lekcyi nauczyciel zganił zadanie siedmioletniego ucznia Bernarda Giebnera i kazał mu je przepisać. Giebner szybko wyszedł z ławki, wstąpił na otwarte okno i rzucił się na dół z drugiego piętra. Niezwykły ten wypadek wywołał w mieście wielkie wrażenie.

Przeciw utonięciu. W pewnym zakładzie kąpielowym w Wiedniu dokonano w tych dniach ciekawych doświadczeń z nowym środkiem przeciwko utonięciu na najgłębszej nawet wodzie. Materyał ratunkowy wszyty jest pod podszewkę ubrania i działa tak skutecznie, że żołnierz, którego ubranie zaopatrzono w ten materyał, wskoczywszy w pełnym uniformie, z tornistrem i karabinem podczas prób odbytych, do wody, stał w niej i poruszał się zupełnie swobodnie. Wynalazek ten zwłaszcza podczas wojny, gdy wojsko musi przebywać głębsze rzeki, może oddać wielkie usługi.

Z niedoszłego samobójstwa — wielki śmiech. Dzienniki niemieckie opowiadają następującą zabawną historyę: Pewna służąca postanowiła odebrać sobie życie, lecz chciała też mieć piękne wspomnienie pośmiertne w miejscowej gazecie, w tym też celu napisała wieczorem do redakcyi wzmiankę tej treści: »Dzisiaj wieczorem zakończyła życie na-

gle i niespodziewanie moja najukochańsza córka, a nieodżałowana narzeczona pana X. Anna M. w 31 roku życia«. Następnie, obyczajem niemieckim, wyliczone były nazwiska wszystkich krewnych i owego nieutulonego w żalu narzeczonego i oznaczony został dzień i godzina pogrzebu, ze wskazaniem domu żałoby. Po wysłaniu wspomnienia pośmiertnego owa służąca udała się do swego pokoju i odkręciła kurek od gazu, aby spowodować śmierć. Chlebodawcy spostrzegli jednak, iż gaz dostaje się z rury w pokoju służącej i uratowali ją od śmierci. Jakież było wszakże zdziwienie ogólne, gdy następnego dnia odczytano w dzienniku wiadomość o śmierci niedoszłej samobójczyni. Najbardziej zdziwionym był podobno »nieutulony w żalu« narzeczony, który wcale nie utrzymywał żadnych stosunków z »nieodżałowaną narzeczoną«. Było potem śmiechu co niemiara w całem miasteczku z tej zabawnej historyi.

Porwanie dziecka. Bardzo smutna przygoda spotkała niedawno temu pewną rodzinę urzędniczą w Wiedniu. Małżeństwo to posiada kilkoro dzieci, a wśród nich sześciomiesięcznego chłopczyka. Z dziećmi ich lubiły się bawić i przyjaźniły się dzieci sąsiadów. Z czternastoletnią córeczką sąsiada wychodziły często na przechadzkę, a najmłodszy chłopczyk jechał zwykle w wózku. Dziewczynka owa mając raz z polecenia matki udać się do banku zastawniczego dla wykupienia zastawionych tam rzeczy, zabrała z sobą wózek z 6-cio miesięcznem dzieckiem. W banku było o tej porze dużo ludzi, nie mogła z wózkiem wjechać do środka, poprosiła więc lekkomyślna dziewczyna jakąś kobietę czekającą przy bramie, aby przez chwilę pilnowała dziecka — ta się chętnie zgodziła, a nierozważna młoda opiekunka poszła do wnętrza budynku wykupić zastawione rzeczy. Gdy po dłuższym czasie, załatwiwszy swój interes w banku, powróciła na ulicę, ani wózka, ani dziecka, ani owej kobiety nie było. Z głośnym płaczem i w ogromnym strachu pobiegła do domu i opowiedziała biednej matce o strasznej zgubie.



Można sobie wyobrazić, z jaką rozpaczą nieszczęśliwa kobieta przyjęła tę okropną wiadomość. Pobiegła zaraz na policyę, która zarządziła poszukiwanie dziecka, oprócz tego sama, zalewajęc się łzami dniem i nocą błądziła po ulicach Wiednia, szukając swego dziecka. Z każdą godziną traciła nadzieję odnalezienia, bo zważyć trzeba, że Wiedeń to milionowe miasto, ulic tysiące, ludzi wszędzie bez liku — dziecinę małą ukryć więc gdzieć w dalekim zaułku bardzo łatwo. Nareszcie gdy po dwóch dniach poszukiwań zrozpaczona, modląc się o ratunek i odnalezienie zguby do św. Antoniego, znalazła się za miastem obok jednego z dworców kolei, posłyszała zdala płacz dziecięcia. Serce uderzyło jej gwałtownie, zabłysła nadzieja: a może to moje! Pobiegła za kwileniem dzieciny, które w miarę zbliżania zdawało się coraz bardziej znajomem — i oto ujrzała siedzącą na ziemi obdartą kobietę, a obok niej leżące własne swe dziecię! Porwała je zalewając się łzami radości i zaczęła wygłodniałe biedactwo całować, obdarta kobieta zaś rzuciła się do ucieczki. Lecz chodzący opodal policyant pochwycił ją w tej chwili. Pokazało się, że była to żebraczka, która ukradszy dziecko, chodziła z niem od dwóch dni jak ze swojem i wzbudzając litość przechodniów, wyłudzała jałmużnę. Bolesną tę przygodę, która jednak dobrze się zakończyła, przedstawiają nasze obrazki.

Prawdziwie po prusku. Prusacy przechwalają się, że ich państwo jest przedewszystkiem państwem porządku, dzięki ustawom, które ściśle są wykonywane. Prawda, że ustawy w Prusiech są przestrzegane, czasami jednak zdarza się, że trzymanie się jakiegoś przepisu ściśle co do litery bez rozumnego zastosowania się do danego wypadku, bywa śmiesznem i niedorzecznem. Przykładem tego następujący wypadek: Na jedno z jezior, otaczających Berlin, wyjechało kilku młodych ludzi na łodzi i przejeżdżało obok brzegu, na którym stała tablica, wzbraniająca w tem miejscu wiosłowania bez otrzymania specyalnego pozwolenia od władzy. Nagle straciła równowagę i czterej młodzieńcy wpadli w wodę. Na ich krzyk pospieszyli wioślarze, jeżdżący po dozwolonej stronie jeziora i wyratowali tonących. — W parę dni potem dzielni ratownicy otrzymali mandaty karne po 10 marek za niedozwolone jeżdżenie koło brzegu! W istocie, aby wyratować tonących, dotarli do miejsca, gdzie nie mieli pozwolenia jeździć, ale władze pruskie nie uwzględniły pięknego czynu, lecz nałożyły na nich karę za przepłynięcie »dozwolonej« części jeziora! Niema co mówić, prawdziwie po prusku!

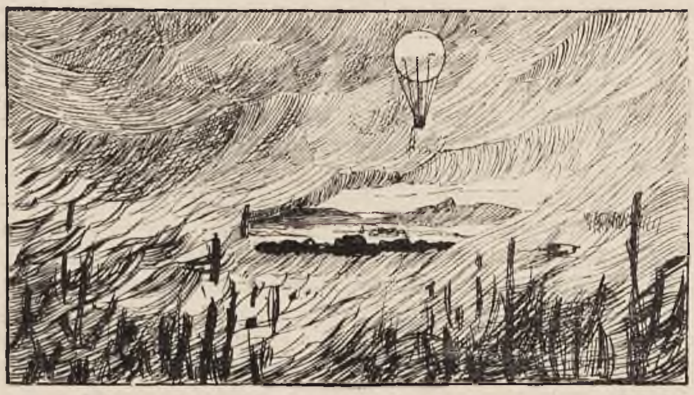
Posiwieli przy pożarze. Przed pół rokiem wybuchł w miejscowości Rummelsburg pod Berlinem groźny pożar z powodu wybuchu benzyny w pewnej fabryce. Wśród strażaków zajętych przy ogniu czterech straciło zupełnie włosy na głowie; po czterech miesiącach włosy wyrosły im z powrotem, lecz ku ogólnemu ich przerażeniu przybrały kolor biały jak śnieg. Dzielni strażacy nie stracili mimo to humoru, przeciwnie są dobrej myśli, twierdząc, że lepiej jest mieć białe włosy, jak nie mieć żadnych. Bądź co bądź jednak jest to niezwykłe zjawisko, o którem rozpisują się właśnie gazety niemieckie.

Nawałnica w Niemczech południowych. Niezwykle gwałtowna nawałnica wyrządziła w Niemczech południowych szkody ogromne. Jak donoszą z Hidelbergu, w miejscowości Grünsweld w wezbranym wskutek ulawy potoku zginęły 4 osoby. W Palmarze, w Badenii, woda zmyła 6 domów, w których utonęło 12 osób. Szkody w ogrodach, jak również podmytych tamach i mostach są bardzo znaczne. — W gminach Seckenheim, Friedrichsfeld, Edingen i Neckershausen grad padał przeszło pół godziny, obdzierając drzewa z liści, niszcząc zupełnie warzywa i zabijając mnóstwo drobiu. W okręgu Lebus grad zniszczył niemal zupełnie pola i sady. W Müsbenfelde piorun zabił owczarza i 10 owiec. W dobrach Lebus spłonęła wskutek uderzenia piorunu owczarnia z 300 owcami.

Skutki czytania złych książek. Jak młodzieży przewracają w głowach książki kryminalne, o rozbojach, kradzieżach i t. p. za nowy tego przykład służyć może następujący wypadek. W Bawaryi pewien 16-letni chłopiec i dziewczyna w tym samym wieku, naczytawszy się książek o przygodach rozbójników urządzili sobie w lesie prawdziwą jaskinię zbójecką. W celu jej umeblowania ograbili skład mebli, tą samą drogą zaopatrywali się w żywność, bieliznę i ubranie. Dziewczyna w przebraniu męzkiem

towarzyszyła chłopcu podczas napadów. Zabawa rozbójników trwała niedługo, po tygodniu bowiem żandarmi uwięzili niezwykłą parę młodocianych opryszków.

Balon nad płonącym lasem. Przy obecnych naszych środkach komunikacyjnych, które z wielką szybkością przenoszą człowieka z miejsca na miejsce, wszelka jazda czy samochodem, czy balonem, czy na latawcu jest oczywiście niebezpieczna. Ciągle czytamy o śmierci śmiałych lotników, często też giną lupędzący z szaloną szybkością samochodami. Wyprawiający się balonami stosunkowo najmniej narażeni są na niebezpieczeństwo, z balonu bowiem można w razie potrzeby zwolna wypuszczać gaz, skutkiem czego balon się obniża i w końcu swobodnie ląduje. Silne wiatry wiejące wysoko w powietrzu są wrogami powietrznych żeglarzy, przenoszą ich bowiem szybko wbrew ich woli o setki mil i zapędzić mogą n. p. nad morze, gdzie w razie upadku balonu, niema ratunku dla nieszczęśliwych.



Niedawno temu w Niemczech, zapędził wiatr balon nad płonący las. Obszar palący się był znaczny, balon zaś nie unosił się zbyt wysoko, skutkiem czego przez pół godziny groziło jadącym wielkie niebezpieczeństwo. Gorąco dobywające się z dołu, iskry wypryskujące w górę z płonących smolnych gałęzi przejmowały ich ogromnym strachem, gdyż w razie, gdyby iskra padła na powłokę balonu i przepaliła ją, gaz znajdujący się wewnątrz natychmiastby się zapalił, balonby pękł w oka mgnieniu, a łódka, wisząca u balonu, w której znajdowali się ludzie, spadłaby na płonący gąszcz leśny. W wypadku, o którym opowiadamy, żeglarze powietrzni uniknęli nieszczęścia, gdyż silne powiewy wiatru pognały balon za płonące obszary leśne, na równinę, gdzie później wylądowali. Chwilę niebezpieczeństwa, gdy balon zawisł nad morzem płomieni i mógł stać się ich pastwą, przedstawia nasz obrazek.

Ośm milionów połknęła! Niezwykłe przygody przechodziły brylanty, wartości ośmiu milionów rubli, zamówione przez jubilera cara, nazwiskiem Kepto, u paryskiego handlarza dyamentów Lebrion. Ten ostatni po otrzymaniu zlecenia, przyjechał do Petersburga i stanął w pierwszorzędnym hotelu »Gwiazdy polarnej«. Rankiem, kiedy zbudził się Lebrion ze snu, pierwszą jego myślą było zajrzeć do pudełka, w którem mieściły się dyamenty. Niestety — jakby rażony piorunem, spostrzegł, iż dyamenty znikły bez śladu. Zrozpaczony zwrócił się do policyi z żądaniem wykrycia sprawcy kradzieży, zdawało się atoli, iż złodziej umknie bezkarnie. Szczęśliwym jedynie trafem udało się stwierdzić policyi, iż kradzieży dokonała zamieszkała w tym samym hotelu elegancka dama, meldująca się jako »Lady Malborough«. W damie tej rozpoznała policya światową złodziejkę, której zawodem było okradanie handlarzy dyamentów. Mimo najskrupulatniejszej rewizyi, dyamentów skradzionych nie znaleziono, gdyż jak przypuszczają, »Lady Malborough« połknęła je przed aresztowaniem. Złodziejkę oddano wobec tego pod ścisłą obserwacyę. Dyamenty przeznaczone były na naszyjnik dla pewnej wielkiej księżny, której z okazyi ślubu zamierzał car sprawić ten wspaniały podarunek.

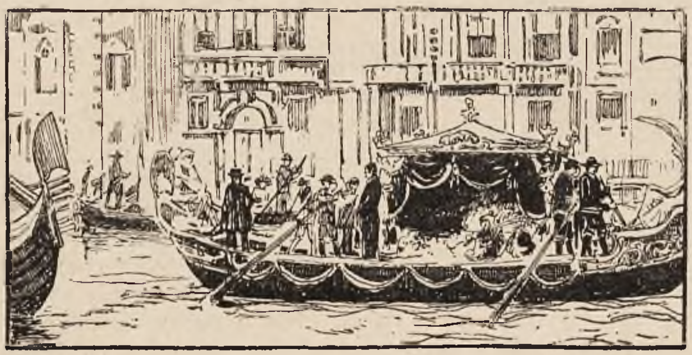
Strzelanie do obłąkanego. W Rosyi, jak wiadomo, nie bardzo cenią życie ludzkie. Podczas ubiegłych zamieszek rewolucyjnych w Królestwie, na porządku dziennym były wypadki, że gdy ktoś np. strzelił do policyanta a w pobliżu był zebrany oddział policyi czy wojska, oddział natychmiast dawał ognia do całej ulicy i tym sposobem wielu niewinnych przechodniów, mimowolnych świadków zajścia, traciło życie. Niedawno znów w jednem z miast syberyjskich zdarzył się wypadek, że wojsko strzelało do obłąkanego. W państwach cywilizowanych nigdy nic podobnego się nie zdarza. Władze bezpieczeństwa i dozorcy szpitalni szaleńca strzelającego z okna starają się w inny sposób opanować. Wzywają np. straż ogniową, która go oblewa strumieniami wody z sikawek. Wkońcu ujmą nieszczęśliwego bez dopuszczania się na nim barbarzyństwa. — W Rosyi inaczej. Wypadek z obłąkanym w Syberyi przedstawia się jak następuje. Posłowie syberyjscy do Dumy otrzymali, jak donoszą gazety rosyjskie, od trzech sióstr ponurowskich z miasta Nikolska telegram tej treści: »Ojciec nasz od kilku lat już jest chory umysłowo. Dnia 5 maja wpadł w atak szału i zaczął strzelać. Gdy policya usiłowała go rozbroić, ranił wystrzałem stójkowego. Policmajster Chadrin wezwał wojsko, które strzelało salwami do godz. 4 rano. Gdy wojsko wreszcie odeszło, pozostała policya i strzelała w dalszym ciągu do godz. 10 wieczorem, przyczem chory został raniony i osadzony w więzieniu. Dom został zrujnowany, straty ponieśliśmy olbrzymie. O chorobie ojca wszyscy wiedzieli; wiedziała o niej także policya. Można go było rozbroić i aresztować bez użytku broni. Po pogromie domu okazał się brak 3000 rubli, oraz zegarek kieszonkowy, który ojciec miał przy sobie. Zamki w kufrach były powyłamywane. Policya o zajściu nie zawiadomiła ani żony, ani dzieci. Protokołu o dokonaniu kradzieży komisarz policyi spisać nie chciał«. A więc chorego poraniono, dom zrujnowano i ukradziono 3000 rubli. Ładnie się dzieje w niby to konstytucyjnej Rosyi!

Okropny czyn bandytów. We wsi Soroki, koło miasta Odessy w Rosyi, mieszkał bogaty właściciel dóbr Szostak, lat 72, z żoną. Szostak przechowywał w domu swoim wiele kosztowności. Pewnej nocy bandyci wtargnęli do mieszkania Szostaka, skierowali się do oficyny, gdzie nocowała służba i żona właściciela. Bandyci rzucili się na służbę i zarąbali kilka osób siekierami, a następnie schwytali żonę Szostaka i zawlekli ją do pokoju męża, zmuszając ją do zawołania na męża, ażeby otworzył drzwi. Wszystko to widział schowany na podwórzu za kopą siana robotnik. Kiedy Szostak, niczego nie podejrzewając, otworzył drzwi, bandyci uderzyli go siekierą w głowę i zabili na miejscu; poczem rozpłatali też głowę jego żonie. Następnie wtargnęli bandyci do pokojów Szostaka, splądrowali je, zabrali wszystkie kosztowności i uciekli końmi właściciela. Policya szuka sprawców potwornego morderstwa, ale dotąd na ich ślady nie natrafiono.

Oberwanie chmury w Londynie. Podczas oberwania chmury i nawałnicy w Londynie uderzyły pioruny w dwa kościoły i uszkodziły je. Siedmnaście osób zabitych. Podczas burzy na przedstawieniu w menażeryi w parku powstała straszna scena. Dwa

lwy oszołomione grzmotami rzuciły się na pogromicielkę, jeden wbił jej kły w ramię, drugi w nogę. Wkońcu udało się dyrektorowi menażeryi i służbie sztabami żelaznymi odpędzić zwierzęta.

Pogrzeb na wodzie. Włoskie miasto Wenecya, leżące nad morzem Adryatyckiem, zbudowane na licznych wysepkach jest najciekawszem miastem w świecie, gdyż zamiast ulic posiada kanały, po których krążą łodzie, zwane gondolami, oraz statki parowe, przewożące po kilkaset ludzi na raz. Są w Wenecyi także ulice jak gdzieindziej, ale obejść niemi miasta nie można, gdyż w wielu miejscach przerywają je kanały i tylko łodzią można się przeprawić. Wenecya jest jedynem miastem, w którem niema ani jednego konia, ani wózka, dorożki, tramwaju. Komunikacya odbywać się może tylko wodą. Po głównym wodnym trakcie Wenecyi, zwanym kanałem wielkim, przez dzień cały i do późna w noc krążą gondole, łodzie parowe, statki miejscowe i przybywające z Tryestu; wieczór zaś gdy w oknach i na ulicach zabłyśnie tysiące świateł, gdy wśród cudownej pogody, pod ciemnym błękitem zasianym gwiazdami, setki łodzi i parowców oświetlonych wśród śpiewów i muzyki po kanale wielkim zacznie krążyć — patrząc na ten cudowny widok, zdaje się człowiekowi, że jest w jakiemś zaczarowanem mieście, że na jawie ziściła się cudowna bajka zasłyszana w dzieciństwie.



Ale nietylko wesołych ludzi, z wesołą piosenką na ustach przewożą po wodą wiecznie zalanych ulicach Wenecyi tamtejsze gondole. Często popołudniu wśród żałobnych pieśni duchowieństwa przesuwa się zwolna ogromna czarna gondola, z baldachimem pośrodku, pod którym spoczywa trumna. To pogrzeb wenecki, zdążający na cmentarz. Taki, jedyny w świecie kondukt pogrzebowy przedstawia nasz obrazek.

Nieszczęśliwy pierścień. Pewnej bogatej pani we Włoszech, wpadł do studni nader kosztowny pierścień. Z tego powodu wyznaczyła wysoką nagrodę temu, kto jej ten pierścień odnajdzie. Utonęło wkrótce dwóch robotników, którzy spuścili się w studnię; śmierć ich nieodstraszyła innych, pragnących zdobyć wysokie »znaleźne«. Zginęło jeszcze dwóch, a prócz tego dwóch ich towarzyszy, którzy spuścili się do studni dla niesienia im pomocy.

Napad orła na latawiec. Odbywał się niedawno wyścig maszyn latających z Paryża do stolicy Hiszpanii, Madrytu. Wielu odważnych żeglarzy powietrznych wzięło w nim udział. Jeden z nich opowiada, że w drodze na znacznej wysokości, podleciał do jego latawca ogromny orzeł, i biorąc maszynę z rozpiętemi białemi skrzydłami za jakiego olbrzymiego ptaka, kilkakrotnie rzucał się na te skrzydła, bijąc w nie dziobem i drąc pazurami. Odleciał dopiero, gdy kierujący maszyną lotnik zranił go wystrzałem z rewolweru.

Piętnastoletnia żona. Dawniej tak u ludu, w dworach szlacheckich, jak i po miastach częściej wychodziły za mąż młode, 15 i 16-letnie dziewczęta. Teraz małżeństwo takie należy do rzadkości. To też nie dziw, że gdy przed paru dniami 15 letnia córka pewnego urzędnika uklękła z narzeczonym na stopniach ołtarza, kościół wypełniły tłumy publiczności. Podczas aktu ślubu rozgrywały się skandaliczne sceny. Tłum stawał na stołki, głośno krytykując młodą parę, a niektórzy widzowie wdarli się nawet na ambonę. W kościele panował nieopisany hałas i ścisk. By młoda para mogła swobodnie powrócić od ołtarza, zawezwano policyę, pod której asystencyą wyszli państwo młodzi na ulicę.

Raj dla pijaków. Hiszpański minister skarbu przedłożył Izbie posłów projekt reformy podatkowej w tym kierunku, że zniesiony być ma zupełnie podatek od napojów alkoholicznych, a natomiast obłożone być mają podatkiem place budowlane, gaz i elektryczność i podniesiony podatek czynszowy, dochodowy i od wygranych loteryjnych. Gdyby projekt ten stał się ustawą i wódka w Hiszpanii została zupełnie uwolnioną od podatku — kraj ten w istocie, stałby się rajem dla pijaków!

Skarby z przed trzech tysięcy lat. W ostatnich dniach gazety całego niemal świata zajmowały się rzekomą kradzieżą świętości pochodzących z świątyni Salomona w Jerozolimie. Wysoki dostojnik kościelny turecki wystosował do sułtana i posłów do parlamentu tureckiego z Jerozolimy depesze, w których domaga się wykrycia i ukarania sprawców kradzieży. Mają być nimi Anglicy, którzy dokonywują obecnie w celach naukowych wykopalisk w okolicy Jerozolimy, ludność zaś mahometańska ma tem być bardzo oburzona. Wobec tych wieści, zajmujący się od dłuższego czasu wykopaliskami w Jerozolimie uczony angielski Parker zaprzecza w pismach londyńskich, jakoby jego studya, rozkopywanie grobów i t. d. wywołały wśród ludności mahometańskiej złe wrażenie. Bajki takie, wyssane z palca, puszczają w świat Niemcy. Wszystko to, co Parker znalazł w rozkopanych miejscach w Jerozolimie, mają w swojem ręku władze tureckie. Dalej donosi Parker, że na górze Moria w Jerozolimie odkrył rzeczywiście skarby, pochodzące ze świątyni Salomona. Znalazł tam również mnóstwo przedmiotów z gliny, wazy, ampuły, czary, pochodzące z zamierzchłej starożytności, bo, jak stwierdzili członkowie wyprawy naukowej, temi wykopaliskami się zajmujący, z przed 3.000 lat. Na podstawie zebranego dotąd z wykopalisk materyału doszli oni do przekonania, że stara Jerozolima, stare miasto, zbudowane przez króla Dawida, nie znajdowało się na górze Sion, jak dotąd twierdzono, ale na górze Moria.

Zegary mówiące. Mechanizmy zegarowe przechodziły w ciągu wieków najrozmaitsze koleje. Łączono je z różnymi maszynami, czy to z wielkimi dzwonami, jak przy zegarach wieżowych, czy z grającymi instrumentami, które brzękiem melodyi oznaczały okresy czasu, czy z figurami, wykonującymi w pewnym czasie pewne poruszenia. Zamieniono wskazówki na wyskakujące cyfry, oświetlano tarcze, łączono prądem elektrycznym szereg zegarów w jeden łańcuch, aby zapewnić dokładność oznaczania czasu. Poza tem powstają ciągle nowe mechanizmy, mniej lub więcej interesujące. Jedną z nowości takich, bardzo oryginalnych i mogących znaleźć praktyczne zastosowanie, jest zegar, przemawiający ludzkim głosem. Nie, jak stara, zegarowa kukułka, lecz głośnemi, wyraźnemi słowami. Mówiący zegar nie różni się wcale zewnętrznym wyglądem od zwykłego zegara ze wskazówkami, przesuwającemi się nor-

malnie, w chwilach między kwadransami, nie zwróci też zagar niczyjej uwagi. Dopiero gdy wskazówka stanie na godzinie, czy pół godzinie, czy kwadransie, zegar odzywa się nagle donośnym głosem: »dwunasta!«, »dwunasta piętnaście!«, »pół do pierwszej!« i t. d.

Miliard. Większość ludzi nie ma wyobrażenia o tem, co to jest miliard czyli milion milionów. — Olbrzymia ta suma np. marek niemieckich w złocie waży 333.580 kilogramów, a możnaby nim zapełnić kostkę, której każda z sześciu płaszczyzn mierzy 17 metrów kwadratowych. Gdyby z tej masy złota wyciągnięto drut, możnaby nim opasać całą ziemię. Miliard w srebrze waży 5 milionów kilogramów — kostka musiałaby w tym wypadku posiadać płaszczyzny o wielkości 477 metrów kwadratowych. Aby przetransportować miliard w złocie, potrzeba 64 wagonów, które musiałyby zająć tor kolejowy na przestrzeni 400 metrów. Miliard w srebrze wymaga już 1000 wagonów, zajęłyby one 6 kilometrów toru. — Gdyby miliard w złocie znajdował się w jednej bryle, to do podniesienia jej potrzebaby było 6000 ludzi, a 32.000 osób musiałoby miliard w złocie dźwigać, gdyby każda z nich zabrała tylko 10 kilogramów. Do miliarda w srebrze potrzebaby już 500.000 ludzi. Gdy się miliard złotemi monetami ułoży jednę obok drugiej, otrzyma się długość 1050 kilometrów, a gdy się monety ułoży jednę na drugiej, otrzymamy kolumnę wysokości 33.000 metrów.

Dzikość i zabobony ludów afrykańskich. W Tunisie, w Afryce, pewien lekarz »cudotwórca«, gdy pewien chory człowiek zgłosił się do niego po radę lekarską, polecił mu jeść mięso ludzkie jako lekarstwo, które go z pewnością uzdrowi. Krewni jego, w myśl zalecenia owego »lekarza«, porwali dwoje dzieci, zamordowali i przyrządzili z nich pieczeń dla chorego. Taka to dzikość i tak barbarzyńskie zabobony panują jeszcze u ludów w Afryce!

Odpowiedzi Redakcyi.

Karol Powroźniak w S.: Pańskie prace chowamy do teki i drukować je będziemy wkrótce. Musimy jednak i dla innych mieć względy, drukując ich utwory. Część nadsyłanych prac pójdzie do kalendarza. Obecnie nadesłane utwory też będą drukowane. — Więcław z Niedźwiedzy: Wiersz p. t. »Nasz Sztandar« otrzymaliśmy. — Jan Wachowicz w T.: »Roli« nie wysyłaliśmy, gdyż na czeku nie podał Pan swego nazwiska, więc nie wiedzieliśmy komu ją posyłać. — Arkadyusz Szarek w S. W.: Wiersze otrzymaliśmy wszystkie i drukować je będziemy a nawet do jednego z nich daliśmy zrobić obrazek. Druk wierszy idzie jednak powoli, gdyż nie możemy im tyle miejsca przeznaczyć, ilebyśmy chcieli. Często odpowiadamy krótko, zwłaszcza wtedy, gdy nam brak czasu. O pamięć prosimy — a możeby tak coś prozą? Słowa uznania szczerze nas cieszą. Co do spraw redakcyjnych, to u nas trudno, ale nie wątpimy, że w inny sposób życzenia się spełnią. Łączymy pozdrowienia. — Piotr Kędzierski w P.: Utwory Pańskie wszystkie dobre — chowamy je na przyszłe półrocze, gdy będzie więcej miejsca. Wiersz obecnie nadesłany również dobry. — Władysław Szkaradek w K.: Wiersz dobry — wydrukujemy. — Feliks Szewczyk w R.: Zagadki takie już były — bajka jest dobra. — Michał Wojnarowicz w S.: Otrzymaliśmy.

Zagadki do nagrody.

1. SZARADY.

(Ułożył Górnik).

1.

Pierwsze z drugiem Was zjadają
Gdy spokoju Wam nie dają,
Wy zjadacie drugie-trzecie,
Że są smaczne nie zaprzecie.
Całość przechodzi przez pola,
Wesoła jest taka dola,
Chodzić sobie jak w ogrodzie,
Przypatrywać polnej trzodzie.

2.

Pierwsze wstecz jest zwierzę mało znane,
Pierwsze z trzeciem do gry używane,
Na karcie »Śląsk« możesz znaleźć całe,
Skąd widoki bywają wspaniałe.

3.

Wprost okropne bywa w lecie,
Czasem gospodarstwo zmiecie,
Lecz gdy mię wstecz przeczytacie
Miarą powierzchni mię znacie.

4.

Wprost — rodzajem potwierdzenia,
Wstecz — nie boi zasądzenia,
Za zabójstwa, które spełnia
Wolę ludu on wypełnia.

2. ZAGADKA.

Długi czas już pewno zatarł
W pamięci owe przygody
Kto był takowy — co umarł
Nie narodziwszy się wprzódy.

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy do wylosowania:
1. ***Wrażenia z podróży*** St. Bełzy.
2. ***Polowanie na tygrysy.***

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 17 czerwca 1911 roku. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nr. 22 *Roli*: 1) Zagadka przysłowiowa: **Kto za młodu nie pracuje, ten na starość bieduje,** 2. Obelisk: **Lilla Weneda, Balladyna,** 3. Kwadrat magiczny: **Emil, mowa, Iwan, lane,** 4. Zagadka: **Kanapa,** 5. Zagadka: »Każdy« (tak nazywał się ów rzeźnik) otrzymał głowę. 6. Szarada: **Pasieka.**

W oznaczonym czasie nadesłali rozwiązania PP.:

J. Hirszberg z K., A. Bezokówna z K. m., J. Moś z Cz., R. Kula z M. K., J. Brzeziański z K., J. Burghardt z S., M. Dudek z Ż., A. Zamorska z G., F. Jurczyk z O., F., Teper z M. K., P. Lipowiak z L., A. Feber z S., M. Czapik z W., P. Bielecki z D., Koło Macierzy szkolnej z S., Szczyrka Józef z C. g., W. Flis z L. g., W. Kalityński z P., W. Stefański z G., Z. Oraczewska z Ż., F. Lebiedziew z K. M., S. Kumięga z T., P. Juroszik z I., B. Kurek z G., Jan Styś z Ł.

Pierwszą nagrodę p. t. ***W pomroce wieków*** wylosował p. **Jan Styś z Ł.,** zaś drugą p. t. ***Obowiązek*** p. **J. Moć z Cz.**

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

Potwierdzenia prenumeraty:

W dalszym ciągu prenumeratę nadesłali PP.:
Then Stanisław z Cz. (2·35 K.), Folta Tomasz z G. (2·60 K.), Natonek Jan z L. (2 K.), Wrzos Franciszek z C. (2 K.), Biliński Franciszek z D. (2 K.), Swolkien Ludwik z Z. (2·30 K.), Ożóg Jan z N. (5 K.), Kasprowski Wojciech z P. (2 K.), Wachowicz Jan z T. (1 K.), Michał Bajurny z T. (Dalmacya) (2 K.), Ignacy Zioło z Z. (3 K.), Józef Stachoń z Ch. (4 K.), Zygmunt Bogdański z I. (1 K.), Władysław Wołowiec z S. (2 Kor.), Bartyzel Piotr z Ch. (2 K.), Zięciakowa Marya z D. (2 K.), Aleksander Wytrwał z K. (2 K.), Mucha Jan z K. (1 K.). Władysław Badowski z T. (4 K.), Józef Romańczukiewicz z D. (2 K.), Józef Słowik z U. S. (2 K.), Jerzy Oszelda z Z. (2 K.), Antoni Szostok z W. (2 K.), Julia Boratyńska z R. (2 K.), E. Jaworski z H. (1·70 K.), Piotr Maż z N. (2 K.), Jan Śliwka z J. (2 K.), Czytelnia lud. w Sz. (2 K.), Franc. Śliwiński z D. (2 K.), Jan Mikosiak z J. (1 K.), Jan Gawron z Cz. (2 K.), Piotr Nowak z W. (1 K.), J. Kisielewicz z B. (2 K.).

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 6 czerwca:

Buhaje	Kor.	180	do	200	za sztukę
Woły	„	—	„	—	„
Krowy	„	170	„	270	„
Jałówki	„	120	„	140	„
Cielęta	„	28	„	70	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
Świnie (bita waga)	„	144	„	159	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 6 czerw:

Pszenica	Kor.	11·40	do	12·—	za 50 kg.
Żyto	„	8.25	„	8·50	„
Jęczmień	„	7.40	„	8·30	„
Owies	„	9·—	„	9·90	„
Otręby pszenne	„	5·75	„	5·95	„
Otręby żytnie	„	5·75	„	5·85	„

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**
Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.